WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

CZĘŚĆ SIÓDMA.

WILNO.

JÓZEF ZAWADZKI WŁASNYM NAKŁADEM.

1835.

Dozwala się drukować, z warunkiem, aby po wydrukowaniu złożone były trzy exemplarze w Komitecie Cenzury. Wilno. 1835. d. 24 Marca.

Cenz. L. Borowski.

POSTĘP I UPADEK MALARSTWA W HISZPANII.

Któryż z narodów dumniejszy nad naród Hiszpanów? Historja pełna jest świadectw tej wyniosłości; lecz to jest szczególniejszym przykładem, że wpośrzód takiej pychy, mało się znajduje śladów miłości własnej. Prawy Hiszpan, Hiszpan starego wieku, milczący i zaufany w sobie samym, na uczuciu własnych sił, cnot swoich i swojej odwagi, polega. Wyniosły, dumny, często się do jednej myśli przywiązujący; pełen wielkości, nawet w swych wadach: ci co myślą o odrodzeniu jego, grubo błądzą zaczynając od

zniszczenia starego ducha. Tego to właśnie ducha ożywićby należało. Czy to w dramacie, czy w poezji lub w malarstwie, w historyi, ma w sobie Hiszpan coś bohatyrskiego co go przykładem bardziej lub czynami, niż rozumowaniem krytycznèm i próżną okazałością słów odznacza.

Przeciwnie Włosi, obdarzeni umysłem płodnym, przenikającym i giętkim, lecz w okazywaniu się przebiegli, nie samą tylko łatwością wynalazku i mistrzowskièm dokonaniem dzieła odznaczali się: mieli przede wszystkièm dar podwyższania siebie i dodania samym sobie wagi. Naród zajmujący się swoją świetnością, swoim zapałem, dokładnèm poznaniem natury, szczególnie we względzie fizycznym; skoro tylko wydał swe arcy-dzieła, Europie całej, zaraz za wzór one wystawiał. Każdy wielki artysta był u nich tryumfatorem, *un valente nomo.* Miał dla siebie korony, wieńce, medale, miał zaraz tryumfalne bramy. Pięknèm to było uniesieniem się narodu, to ubóztwienie za życia, Raphael'a i Michel-Angel'a. Obacz z jakièm sta-

raniem najdrobniejsze szczegóły zbiera ten naród o swych sztycharzach, o swych artystach, o każdym ze swych poetów. W taki sposób Włochy w szesnastym wieku, Europie nakazały siebie uwielbiać. Rozsyłały one historyków na wszystkie znajome kraje, miały swoich poetów i wiérsze na wszystkie zwycięztwa, malarzów i rzeźbiarzów dla wszystkich panujących. Jeżeli zamiary ich były wyniosłe, rozliczny talent ich dzieci usprawiedliwiał te zamiary. Zdobiły się one zbiorem swych pamiątek, swémi ruinami, cienie swej dawnej wielkości wywoływały; zgromadzały one w przepysznych muzeach co tylko miały arcydzieł i pomników: czołem Katolicyzmu będąc, wzywały one cudzoziemców na swoje uroczystości, a świat cały się zbiegał. Cała Europa cywilizowana dziwiła się płodóm ich sztuki.

Przeciwnie Hiszpanija, zamykając się w obrębie swych granic, charakteru mocniejszego i bardziej pełnego, gardziła wystawieniem się za cel podziwienia narodów. Jej najznakomitsze arcydzieło literatury *Don Ki-*

szot Cervantes'a, jest wyszydzeniem wad właściwych szczególniej charakterowi Hiszpanów. Nie dążyli oni, tak jak Włosi, do podniesienia sztuki dramatycznej, przez wskrzeszenie Sofoklesa i Menandra, by stanowić prawidła dla teatru innych narodów, lecz ich Lopez de Vega i Calderon niepojętej płodności, dostarczyli przedmiotu oraz intryg do sztuk, dla pisarzy dramatycznych Francyi, Anglii, Niemiec i samychże Włochów. Hiszpańska szkoła malarstwa tymże samym sposobem postępowała. I ona równie jest wielka, równie piękna, ani mniej płodna, tak się przynajmniej nam zdaje, jak szkoła włoska. Jeżeli Hiszpani pielęgnowali sztuki, nie tyle im chodziło o popisanie się ze swojémi zdolnościami, nie tyle może powodowała niémi chęć naśladowania piękności, jak żądza przyozdobienia swoich kościołów obrazami, które w całym blasku okazywały siłę uczucia religijnego; swoich pałaców, uwieczniając pamięć czynów bohatyrskich narodu. Przetoż uczucie religijne i bohatyrskie dobitniej może bydź wydane, wznioślej wykształcone

w obrazach Hiszpanów aniżeli Włochów. Ci ostatni, tak zadziwiającego genjuszu w swej sztuce, oddalali się niekiedy, bydź może, iż z powodu tegoż samego genjuszu, od prawdziwie chrześciańskiego natchnienia. W gienjuszu Michel-Angel'a, jako też Dant'a, jest coś zbliżającego ich do ogromu genjuszu starożytnych pogan. Nagość figur, niejakaś pożądliwość wydana na twarzy, dziwaczna świetność ubiorów i rzeczy w obrazach mistrzów szkoły weneckiej, wszystko to pobudzając do podziwu, do zachwycenia nawet, pod względem doskonałości sztuki, podnieść nie potrafi ducha chrześcijańskiego; u Hiszpanów to, widzieć potrzeba świętość głów dziewiczych, w ich to dziełach panuje bez przerwy, w całym swym blasku, duch Katolicyzmu. Patrząc na obrazy Velasguez'a, Murill'a i ich współzawodników, choćby serce czyje najmniej było skłonne do uczuć ascetycznych, niepodobna, aby w tej chwili nie doznało pobożnego wzruszenia pomimo woli.

W literaturze swojej, Hiszpani równie się

wznieśli dzielnością dwojakiego talentu, w przeciwnych sobie umysłowych płodach; genjuszu lirycznego, i malowania obyczajów życia pospolitego. Z jednej strony naygorętszy zapał ożywia ducha ich wielkich poetów lirycznych; z drugiej, nic dowcipniejszego, nad rubaszne i dziwaczne twory (*picaresques*) wystawujące życie jedynie hiszpańskie, które do *Guzman'a d'Alfarache* i do *Gil Blasa*, nastręczyły wzory. Pochwały Stwórcy przedwiecznego i życie chałastry, przyznajmy że to są dwa przedmioty w sposób osobliwszy do siebie zbliżone: obok uniesienia religijnego i romantycznego, smak uczuć poziomych i płaskie intrygi, co za sprzeczność! Lecz azaliż nie postrzegamy, że ta sama sprzeczność jest tłumaczem charakteru i obyczajów hiszpańskich? Człowiek największy jakiego Hiszpanija wydała, wyższość swą winien był temu talentowi, który mu dał zlać w jedno i porównać ten dwoisty charakter. *Don Kiszot* jest rycerski, *Sanszo* zaś rubaszny (*picaresque*). W arcydziełach hiszpańskiego malarstwa, też same są postrze-

żenia. Celują oni w najgórniejszych pomysłach; celują też i w poziomych. Obok dziewic prawdziwie bozkich wielkich artystów Hiszpanii, z zadziwieniem postrzegamy chałastrę w piwnicach, sceny opojów, drużynę cyganów; żebraków obdartych, stare wróżki, obrazy wystawujące pomieszkania wewnątrz, które nie przypominają sposobu flamandzkiego, ale osobliwszą tchną oryginalnością. Wpośrzód szczegółów często odrażających, jakaś świeżość, jakieś życie i ogień nas uderza. Słońce zdaje się ogrzewać oświecając te przedmioty; oddzielanie się figur, czarujący koloryt, śmiałość pęzla podnoszą sceny pospolitego życia. Nie ma w nich, tak jak u Flamandów, tego drobiazgowego naśladowania przedmiotów powszednich: tego imbryka, wypracowania całomiesięcznego, albo kosza z warzywem, przez cały rok pęzlem obrabianego; jest to koloryt wenecki do najwyższego stopnia gorącości doprowadzony, który poetyckim blaskiem oświéca, liche zkąd inąd przedmioty.

Że Hiszpani pielęgnowali sztuki piękne

dla siebie samych, dowodzi tego niewiadomość powszechna o ich malarzach, i mała liczba hiszpańskich obrazów za granicą. Zbiór marszałka *Soult'a* w tym względzie jedynym jest w Europie. Anglija posiada kilka dobrych obrazów hiszpańskich, lecz nie więcej ich ma nad dwanaście. Muzeum paryzkie ma ich tylko sześć. Z przybytków ozdobionych temi arcydziełami wydobydź ich niepodobna. Po wszystkich miastach, po wszystkich kościołach, po wszystkich katedrach, rozsypane są najpiękniejsze dzieła Riber'ów i Murillo'w. Niepomyślano o zebraniu ich w jedno muzeum, zalety i wielkość tej szkoły nie dają się poznać, jak tylko przejeżdżając przez całą Hiszpaniją. Obrazy te są porozrzucane w Kadyxie, w Sewilli, w Kordubie, w Badajoz, w Grenadzie, w Walencyi, w Walladolid, w Madrycie i w pałacach królewskich. Każdy obraz, każda statua, stała się przedmiotem uwielbienia przywiązanego do samegoż ołtarza, ztamtąd je zabrać, byłoby świętokradztwém. Artyści mało zwiedzali Hiszpaniją, a większa część tych wielkich utwo-

rów, ani przez rysunek, ani przez ryciny upowszechniona nie była.

Popęd ku sztuce nadany był Hiszpanóm od Włochów, oni to Europie całej drogę do sztuk pięknych wskazali. Na wzór Rzymian, Hiszpani śrzedniego wieku szukali sławy w czynach nie zaś w obrazach. Włosi w tych czasach, wiele podobieństwa mają z Grekami. „Grecya podbita panią swoich zdobywców się stała, mówi jeden poeta łaciński, do dzikiego Latium uprawę sztuk wyzwolonych zaniosła.“ Podobnież Hiszpanija podbijająca, poszła czerpać u źrzódeł włoskich smak do malarstwa i rzeźby. Widziano ludzi takich jak Diego Hurtado de Mendoza, posłów do Włoch lub rządzców do miast podbitych, wykonywających swą władzę ze ścisłą srogością, właściwą panom hiszpańskim, którzy zarazem w wolnych chwilach zgłębiali genjusz literatury podbitego kraju i zasilali się sami jego mocą. Biblioteki włoskie były zasadą nauki tego wojennego narodu, który już był zajął Neapol, Sycylią i cały półwysep włoski ogarnąć za-

mierzał. Mnóztwo szacownych rękopismów wzbogaciło hiszpańskie klasztory. Ludzie do zbroi i oręża nawykli, nauczyli się od Petrarka sztuki składania wiérszy miłośnych. Genjusz poetyczny Hiszpanów początkowie pełen energii wraz z pobożnością, lecz w składzie mniej zręczny, bez smaku, nagle się zmienił, gdy żołnierz, Garcilaso de la Vega, żyjący tylko lat trzydzieści, podał swemu krajowi melancholiją żałośną i słodycz elegii śpiewaków włoskich. Taki właśnie skutek Grecya niegdyś na Rzym zwycięzki wywarła. Genjusz poetyczny Rzymian, taki, jakim go jeszcze znajdujemy w rzadkich śladach Lukrecyusza, genjusz religijny, rolniczy, wiejski i wojenny, uległ wpływowi przewagi greckiej i zmiękczał, nabrał poloru, wykształcił się poźniej pod prawami Virgilego i Owidiusza. Podobnież umysł Hiszpanów zwykle ponury i zagłębiony doświadczył przemiany nakazanej przez wpływ obyczajów włoskich; zamiast mocy i oryginalności ich odznaczającej, jakiej się po części pozbyli, przejęli się oni uczuciem wybornego smaku, sło-

dyczy i wdzięku. Charakter bardziej wschodni, bardziej myślący a razem bardziej ognisty, odznacza Hiszpanów od Rzymian. Ci ostatni, oddani polityce, zrodzeni do oręża i do rządu, gardzili i odpychali sztuki wyzwolone, które pierwotna ich rzeczpospolita, pomiędzy zabawami niegodnémi męża umieszczała. Katolicyzm hiszpański, przeciwnie, prędzej czy poźniej musiałby sprzyjać rozwinięciu się sztuki. Rzymianie, bez pomocy Greków, zostawiliby po sobie utwory wielkich prac dla dobra publicznego; wodociągi, mosty, amfiteatra, przepyszne drogi. Lecz nigdyby im na myśl nie przyszło odlewanie bronzu, rznięcie marmuru, zdobienie ścian i gmachów bogactwem obrazów. Sztuki, właściwie mówiąc, nie przynosiły pożytku dla życia publicznego, Rzymianie zaś przede wszystkiém pożytek mieli na celu.

Przeciwnie w Hiszpanii, bez włoskiej nawet pomocy, prędzej czy poźniej rozkrzewiłyby się sztuki koniecznie. Navarette, Zurbaran, Murillo, nie są niewolniczymi naśladowcami Titien'a albo Rubens'a.

Nie tak jak w Rzymie, przez usilną pracę i zmudne kopijowanie wzoru, utworzyli oni swoje arcy-dzieła. Odznacza ich cecha własnego pomysłu, narodowa zupełnie; nie ma tam wątpliwości, jest to niebo Hiszpanii, słońce Hiszpanii, i hiszpańskie obyczaje wystawione. Bez wątpienia, Włosi byli ich mistrzami; tysiące pożytecznych sposobów Włochy im udzieliły, mianowicie w części technicznej i materjalnej sztuki. Pod skrzydłem Rafaeló'w i Titien'ów, sporszym krokiem postępowało malarstwo hiszpańskie, niżeli iśdźby mogło własnym zostawione siłom. Włochom są oni winni przykłady i prawidła; genjusz zaś, który ich zapalał, sobie samym i narodowemu uczuciu.

Wielka i płodna była epoka, w któréj Hiszpani ściślej się połączyli z Włochami. Drobny lud wojenny, bez imienia, przez zjednoczenie Kastylli i Aragonu i przez podbicie ostatniego państwa Maurów, wydobył się i stanął na równi z niepodległémi narodami. W tym samym roku krzyż Chrześcijaństwa wzniósł się w Alhambrze, wody

Atlantyku przepłynione i świat nowy podbity został. W jednymże czasie skarby Mexyku otworzyły się dla Hiszpanii, gdy z drugiéj strony zwycięztwa we Włoszech torowały jej drogę do sztuk pięknych. Filozofowie postrzegali, że większa część nowo nabytych bogactw martwiała w skrzyniach duchowieństwa; tak było w istocie. Powiadali też oni, że duch wyłącznie katolicki i zakonny, ścieśniał sferę, ograniczał i przytłumiał zapał artystów hiszpańskich. Zgadzamy się, w rzeczy samej, iż ludzie duchowni zagarnęli byli wszystkie płody malarstwa, architektury i rzeźby; nie będziemy też zaprzeczać, pod względem ekonomii politycznej i obyczajów społecznych, zgubnej ich przewagi, przeciw któréj ludzie myślący ostatniego wieku, tak silnie powstają. Lecz żeby ta przewaga miała wyniszczać sztuki, wątpimy bardzo. Malarstwo wielkie, malarstwo historyczne, kwitnie tylko pod opieką wielkich stowarzyszeń, dosyć zamożnych, żeby godnie wynagrodzić artystę, dosyć przeważnych, żeby sławę jego podnieść; w ich

władzy zostają pałace i świątynie, gdzie arcydzieła wydają się w całej okazałości. Przez potęgę duchowieństwa śrzedniego wieku wzniosły się katedry gotyckie; nigdyby człowiek jeden, chociaż możny, dokonać tego nie mógł. Zważmy co znaczyło malarstwo historyczne w Anglii; jej obywatele tak bogaci, jej arystokracya tak ogromne skarby w swych ręku dzierżyła, przecież dostatecznego zasiłku dadź malarstwu nie mogła. W ciasnych obrębach mieściła się ich sztuka, poprzestano na portretach i widokach malowanych dla dogodzenia przyjemności niektórych osób; malarstwo tam nadało dziełom swoim kształt, przestrzeń i wagę, stosowną do miejsca sobie przeznaczonego. F r e s k i zaś watykanu, cudowne malowidła rozsypane po Włoszech, i te innego rodzaju, lecz zalet prawie jednostajnych, co zdobiąc napełniają katedry hiszpańskie, wszystkie rozwinęły się pod wpływem przeważnego duchowieństwa, którego potęga dotąd jeszcze przeraża.

Do szesnastego wieku, bardzo trudno o-

znaczyć dokładnie stan malarstwa w Hiszpanii; jednakże w roku 1291 jeszcze, pod czas wojny cywilnej z kłótni domów *Haro* i *Laro* wznieconej, Rodrigo Estevan jest malarzem króla Sanszy IV. Jaki to jego był talent? co za rodzaj malowania? Dziś na to odpowiedzieć niepodobna. Blisko przez wiek cały historja nie wzmiankuje innego artysty. W 1376 Jaymes Castayls robi posągi do głównej facyaty kościoła Tarragony. Wkrótce potém Henrique i Hernan Gonzalez zdobią posągami przepyszne groby w katedrze toledańskiej. Na początku piętnastego wieku, z większą siłą rozwijają się sztuki; architektura i rzeźbiarstwo ściślej z sobą związane, odtąd, jak religija katolicka potworzyła piękne swoje katedry, jednostajnym i pośpiesznym krokiem razem postępują. Do dwudziestu trzech artystów wyliczają pracujących nad ozdobą katedry toledańskiej. Niebawem zza granicy sprowadzają malarzy, pod burzliwém lecz świetném panowaniem Żuan'a II, Gerard Starnina i Dello, obadwaj uczniowie Anto-

niego Veneziano, szlachectwem nadani. Starnina, jeżeli wierzyć mamy Vasar'emu, człowiek prosty i bez wychowania, w Hiszpanii przekształcił swoje obyczaje i nabył szlachetniejszych sposobów postępowania. Dello większej jeszcze sławy: zrazu trudnił się rzeźbą, potém malował małe obrazy i bardzo był poważany w Hiszpanii; Żuan II passował go na rycerza i pozwolił mu wrócić do Florencyi, aby się tam nacieszył głośném już imieniem i wielce nagromadzonémi bogactwy. Życie pysznego Dello, podług opisu Vasar'ego, jest prawdziwie ciekawe. Żądał on, ażeby senat florencki sankcionował nadany mu tytuł od króla hiszpańskiego, wymagał oraz, ażeby *investitura* odbyła się z nadzwyczajną okazałością. Nie czekając odpowiedzi senatu, zdziwionego zapewne na tak dumne warunki, opuścił Hiszpaniją, i wróciwszy, tryumfalny prawie wjazd do Florencyi odprawił; rumak jego purpurowym dywdykiem był pokryty, sam zaś na koniu w złotogłów przyodziany, lśnił się od drogich kamieni i bogactw. W tém sa-

mém mieście, biednym go dawniej widziano pacholikiem, niektórzy z dawnych jego rówienników poznali go mimo przechodząc. Wtenczas to wrzawa i gwizdania towarzyszyły mu aż do jego domu. Jego młodości i jego ubóztwa niegdyś towarzysze, przebaczyć mu nie mogli, ani wzbogaceniu się, ani dumy jego. Zmuszony opuścić Florencyą, nazad do Madrytu odjechał; tam umarł i tam pochowany został. Upokorzenie, jakiego doznał, nie poprawiło go wcale; do ostatnich dni życia ani malować zaczął, ani do roboty przysiadł, nie zapiąwszy się fartuchem ze złotolitej materyi. W dawaniu ozdób celował; on to przystroił znaczną liczbę pałaców, on piérwszy sposób i smak włoski wprowadził. Podziwienie dla dzieł jego wówczas, dowodzi, w jak nizkim stanie była sztuka w tej epoce. Styl ozdób był już bardzo ceniony, wyszukany i delikatny w wiekach śrzednich; Dello zaś, raczej rozwijał i ulepszał tylko styl śrzedniego wieku, niżby miał odmianę jaką w malarstwie zaprowadzać. Rogel Flamandczyk, za-

leca się w tymże samym rodzaju, sławny z wielce wykończonych i świetnych obrazów zdobiących *oratorium* Kartuzów w *Miraflores*. Współczesny ich, Jerzy Ingles, zapewne Anglik rodem, wnosząc po jego nazwisku, równie był wzięty, bez przyćmienia jednak ich sławy; jemu to markiz *de Santillane* polecił wymalowanie głównego ołtarza swojego szpitala w Buytrago. Nad ołtarzem miał bydź portret markiza; nie można nadto ubolewać nad przypadkiem, albo niedbalstwem zatraty tych robót, tak portretu, jako i szacownych śladów historyi sztuk pięknych. Bardzo mała liczba tych dzieł dawnych do naszych czasów dochowana została; *Sevilla* jeszcze posiada nieco obrazów Żuan'a Sanchez de Castro i jego ucznia Żuan'a Nunez.

Chcąc mieć wyobrażenie usiłowań i talentu artystów tej epoki, trzeba ich widzieć zebranych pod opieką kapituły kościoła, ubiegających się do ozdobienia katedry jakiej; kiedy przejęci wszyscy jedném uczuciem pobożném, wszyscy mając na myśli

osiągnienie wielkiego celu, nie dbają o sławę osobistą i gubią imiona we wspólném działaniu. W roku 1500, ośmnastu artystów w Toledzie pracuje razem nad ozdobieniem wielkiego ołtarza, pod przewodnictwem tamecznej kapituły. Zostały dotąd szczątki przedziwnych malowideł, które sposobem roboty, prostotą układu, dostateczném wydaniem uczuć, nieco zasuche, przypominają Perugin'a. Komubykolwiek, czy to Żuan'owi de Borgona, czyli Piotrowi Burruguette, były przypisywane, zawsze są one znakomite przez swój pomysł i wykonanie. Kilka małych wiosek, które podczas zamieszek wojennych i w przeciągu wieków, troskliwie zachowały stare swych ołtarzy malowidła, dzisiaj jeszcze przedstawują ciekawe reszlki tych dawnych obrazów. Tak więc, w *Mobledo de Chevala*, w małej wioseczce niedaleko Eskurialu, ściąga podziwienie wszystkich obraz Rincol'a, ucznia jak wnoszą Dominika Ghirlandajo; jednego z piérwszych, którzy się otrząśli ze sposobów oschłych i zimnych gotycyzmu, a rozważając

naturę, pojmować zaczęli okrągłość kształtów i zmiany perspektywy.

Artysta swego czasu, mówiąc właściwie, był tylko rzemieślnikiem kościelnym; po nim wymagano, ażeby wyrabiał ozdoby, aby pozłacał i był rzeźbiarzem. Zpod jego pęzla wychodzący obraz, nie mógł bydź nigdy odosobniony od innych ozdób ołtarża; trzeba było, ażeby ramy i malowidło, tło i ozdoby jednej ręki były dziełem. Włosi natenczas nie ustawali we wzmagającym się coraz postępie. Z drugiej strony, Niemcy mając na czele Alberta Durer'a i Hobein'a, śledzili naturę w jej naśladowaniu ścisłém, bezpośrzedniém i bardziej drobiazgowém. Królowie hiszpańscy, władzy niezmiernej, żadnych nie szczędzili starań, żeby podnieść sztukę w swym kraju. Najzawołańsi mistrze zagraniczni, Franciszek Pisan, Hieronim Bos i wielki nakoniec Titien, tak ode dworu, jak od kościoła hiszpańskiego mieli sobie wyznaczone i prace i wynagrodzenia. Fernando Gallego tak wiernie naśladował Alberta Durer'a, iż malarz

francuzki Lebrun nie mógł rozpoznać, czy malowane *oratorium* przez piérwszego z tych dwóch artystów, nie było dziełem drugiego.

We Włoszech, w tej wielkiej szkole sztuki, znajdujemy niemało malarzy Hiszpanów: między innymi Alonzo Berruguette, jeden z uczniów Michel-Angel'a, przez Karola piątego wybrany na malarza i rzeźbiarza dworu. Piérwszy Berruguette wprowadził do Hiszpanii wyniosły styl rzeźbiarstwa i szerokie massy architektoniczne, na sposób Michel-Angel'a. Od niego zaczyna się nowa epoka, a wzniesiony przez Karola piątego Alcazar w Grenadzie, zajmującym jest tego przykładem. Obfituje on w ozdoby, bez tej jednak złego smaku przesady, która szpeciła dawniejsze gmachy. Szczegóły w nich są włoskie, ogólny zaś układ gotycki. Znawcy hiszpańscy nazwali ten rodzaj *platereskiem*, stylem jubilerów; wyrażenie szczególniejsze, które jednak dosyć dobrze znamionuje gatunek takowej architektury. W katedrze Toledy, rzeźby z drzewa na chórze, zdobione przez tegoż

samego artystę, są wzorem wspomnionego rodzaju.

Możnaby mniemać, że duma *hidalgów*, (szlachty) powinna była w nich wzniecać pogardę dla sztuk pięknych, jako niegodne dla nich zajęcie się. Jednakowoż, trzeci syn don Dieg'a de Guevara, don Felippe, przeznaczony przez urodzenie swoje do najwyższych dostojeństw; oddaje się cały malarstwu, natchniony niezwyciężoną do sztuk skłonnością. Gdy ojcu swojemu towarzyszył do Bononii, zapoznał się był tam z Titien'em, który mu wskazał piérwsze zasady tej sztuki. Odznaczył się on nie tylko jako malarz ale jeszcze jak krytyk. Komentarze jego o sztuce malarskiej były wydane w Madrycie przez Ponz'a; obrazów zaś jego ręki żadnego już nie mamy; historya wzmiankuje że się pod Tunis walecznie potykał.

Zpomiędzy artystów zagranicznych, którzy pracą lub przykładem przyczynili się do wykształcenia szkoły hiszpańskiej, wymieńmy jeszcze dwóch Flamandów: Franciszka Frutel i Piotra de Campana, uczniów do-

syć biegłych rzymskiej i weneckiej szkoły. Sławny Murillo zwykł był modlić się upadłszy na kolana w katedrze sewilskiej, przed obrazem zdjęcia z krzyża roboty Campan'a. Pewnego razu wieczorem gdy zbyt długo w zwyczajnej postawie pozostał, sługa kościelny, chcąc drzwi zamykać, uderzył go po ramieniu: „czekam, rzecze Murillo powstając, aby ci święci ludzie skończyli pacierze."

Smak włoski ze wszech stron się przebijał w Hiszpanii. Artysta, Ludwik de Vargas, po dwudziesto-ośmio-letnim pobycie we Włoszech, wrócił do kraju ze smakiem tak wiernie wykształconym na wzór Raphael'a i Perin'a del Vaga, że chciałoby się mieć mu za zarzut to całkowite przyswojenie obcych sposobów, które ślady narodowego charakteru zatrzeć potrafiły. Nie jesteśmy za tém pomocniczém rozwijaniem się sztuki, które niszczy narodowość, ani które nadaje krajowi jakiemu, ubitym już torem nauki, charakter kraju obcego. Ztémwszystkiém Ludwik de Vargas, którego bardziej w rzę-

dzie włoskich niżeli hiszpańskich malarzy mieścić należy, piękne zajmuje miejsce w historyi nowoczesnej sztuki. W wysokim stopniu posiadał on naukę *wskórczów*. Powiadają, że jeden z uczniów Michel-Angel'a, Piotr de Alesio, Rzymianin, miał sobie polecony do odmalowania obraz Swiętego Krzysztofa w Katedrze sewilskiej, gdzie też i Vargas pracował nad Adamem i Ewą. Oddzielenie się nogi Adama szczególniejszym sposobem wykonane, tak uderzyło włoskiego malarza, iż dokończywszy swego Swiętego Krzysztofa, zawołał: *Piú vale la tua gamba che il mio San Cristoforo.* „Więcej warta twoja noga niż mój Swięty Krzysztof." Gdybyśmy nawet to zdarzenie umieścili w rzędzie licznych powieści powymyślanych w opisaniu żywotów malarzy, obraz, który zachował nazwanie *de la gamba*, nie mniej zasługuje na pochwały dzisiejszych znawców, którzyby jednak żądali, aby w lepszém wystawiony miejscu mógł okazać wszystkie swoje zalety. Narodzenie Chrystusa w wielkim ołtarzu, dzieło tegoż artysty, jest prawdziwie do po-

dziwienia: szkoda, że Vargas często malował *al fresco*, czas, wilgoć i brak troskliwości większą część prac jego zniszczyły. Jedna z najlepiej dochowanych jego robót, zdobi ołtarz kaplicy pobocznej Swiętej Maryi Białej. Wyobraża ciało Zbawiciela zmarłego na ręku matki złożone, w obec Magdaleny, świętego Jana i kilku innych. Prosty i naturalny układ tego obrazu, doskonałą stawi sprzeczność z wyszukanym i wymuszonym stylem nowoczesnej szkoły. Widać w nim ślady śmierci i bladość prawdziwą, pogodne cierpienie ukrzyżowanego Chrystusa i religijną uczniów jego rospacz. Vargas zostawił po sobie pamięć świętej prawie słodyczy duszy, uczuć pobożnych, dobroci charakteru. W pracowni jego znaleziono po śmierci trumnę, która mu za łoże służyła, dowód takiej pokory i umartwienia chrześcjańskiego, do głośnych pochwał od współcześnie żyjących ludzi stał się pobudką. „Co sądzisz o tém dziele?“ raz go pytał nędzny rzeźbiarz pokazując mu krucyfix, partackiego swego dłota roboty, który bardziej zdawał się bydź

urągowiskiem niż wyobrażeniem Zbawcy ludzi. „Odpuść im Panie, zawołał Vargas, bo nie wiedzą co czynią.” Roboty jego są bardzo rzadkie, nawet w Hiszpanii. Galerja madrycka żadnej z nich nie ma. Marszałek Soult posiada *Chrystusa w ogrojcu*; P. William z Sewilli Najświętszą Pannę, które to są bez wątpienia jego ręki. Znajduje się jeszcze jeden w galeryi pałacu Esterhazego w Wiédniu.

Po Vargas'ie mówić nam wypada o Alonz'ym Sanchez Coëllo; urodził się on w Walencyi na początku szesnastego wieku. W towarzystwie Antoni'a de Moro udał się do Lizbony i tam jakiś czas przemieszkał pod opieką don Żuan'a, małżonka córki Karola piątego. Życie Coëlla było świetne; Filip II mianował go, nie tak malarzem swoim z wyboru, jak raczej przyjacielem najbliższym. Zimna wyniosłość tego monarchy i ścisła etykieta jego dworu, uległy przewadze sztuki i wyższych zdolności tego artysty. Umieścił on swego malarza, powiada Pacheco, w pięknym domu przy-

ległym pałacowi, i klucz od domu u siebie chował; nie raz tam wpadał niespodziewanie, żeby się cieszyć widokiem domowego pożycia malarza w chwilach wolnych z jego rodziną, albo zachwycić go znienacka przy pracy. Nie pozwalał mu ani wstawać na powitanie, ani porzucać rozpoczętej roboty. Ilekroć pisał do niego, poczynał zawsze od tych wyrazów: *Najukochańszemu synowi memu Alonzo Sanchez Coëll'i.* Godzien tak wysokiego szacunku Coëllo, jako malarz portretów. Nic bardziej zająć nie może nad widok portretu nieszczęśliwego don Carlosa, w królewskiém muzeum w Madrycie. Nieszczęśliwy syn srogiego Filipa II wystawiony tam w złotej szacie, jednę rękę za przepaską trzyma, drugą na rękojeści oręża opiera. Uderzające jest podobieństwo jego z ojcem i dziadem, na jego twarzy pełnej wyrazu niepodobna znaleźć naymniejszego śladu niedołężności, jaką mu historycy przypisywali. Najpiękniejszy z portretów pęzla Sanchez'a jest bez wątpienia portret ojca Siguenza, przyjaciela tego artysty; wi-

dzieć go można w celi przeorskiej w Eskurialu. Gasper Becerra podobnież jak Sanchez Coëllo często za granicą bywał; lecz we Włoszech szczególniej zasady rzeźbiarstwa, architektury i malarstwa czerpał. Pod opieką Filipa II, podczas pobytu swego w Rzymie, zrobił rysunek do wielkiego dzieła anatomicznego Jana de Valaverde. Jako rzeźbiarz najwięcej się odznaczył.

Nie należy nam zapominać o Żuan'ie Fernandez Navarette, głuchoniemym, który, jeżeli wierzyć można podaniu, uczniem był w domu Titien'a. To co nam z robot jego pozostało, zdaje się bardziej do szkoły florenckiej niż do weneckiej należeć; albowiem mieszanina kolorów, układ draperyj, styl rysunku i kompozycyi florencką przypomina szkołę. Filip II w zachwyceniu nad robotami jego, przeznaczył mu 400 dukatów pensyi.

Przepyszny obraz Navarett'a *Abraham przyjmujący Aniołów*, znajduje się dzisiaj w galeryi książęcia Dalmacyi: w tym to obrazie dzielność kolorytu, cienie sztucznie ze

światłem układane, przecudnie znamionują szkołę i talent mistrza. Zakonnicy Eskurialu, dla których ten malarz zwykle pracował, dziwaczną z nim zawarli umowę: warunki które my umieścimy, mogą dadź wyobrażenie wpływu jaki Religija natenczas wywierała na sztuki, i przeszkód na jakie zgadzać się bez narzekania artyści musieli. Navarette obowiązał się odmalować do kościoła trzydzieści dwa obrazów, z tych pięć od trzynastu stóp na dziewięć, a dwadzieścia siedm od stop siedmiu i pół na siedm i ćwierć rozmiaru bydź miało. Zawarowano było, ażeby tylko Święci i Święte w obrazach byli malowani, ażeby żadnej obcej lub komicznej figury, a tém bardziej żadnego źwierzęcia w nich nie umieścił. Zdarzyło mu się w kącie jednego obrazu świętej familii odmalować walkę psów; naśladowanie natury tak było dokładne, dzielność pęzla nieumiejącego szczegółów zataić tak widoczna, że przedmiot ten odrywał myśl nowicyatu i zgromadzeniu stał się powodem zgorszenia. Warunkiem też było, ażeby wszystkie figury miały zatwierdzenie króla;

a także jeśliby malarz mógł dostać autentycznych portretów świętych, aby takie jak najwierniej kopijował, oraz ażeby dwóch tychże samych osób, chociażby w odmiennej postaci, w obrazach nie umieszczał. Za każdy zaś obraz miał otrzymać opłaty dukatów dwieście. Życie jego nie wystarczyło mu na dokonanie tak ogromnych zamiarów. W ośmiu piérwszych obrazach wystawił on dwunastu apostołów i cztérech ewangielistów: w wyrazie twarzy, wielkością pomysłu zbliża się do Fra-Bartolomeo, pięknością zaś kolorytu do Titien'a. Pewnego razu Filip II darował obraz Titien'a mnichom Eskurialu, a widząc, że wielkość jego nie przypadała do miejsca przeznaczonego w refektarzu, w obecności Navarett'a zalecał obraz ze czterech stron do miary okroić. Navarette poznawszy po ruchach otaczających go osób barbarzyńską i śmieszną myśl królewską, wystąpił na przód i przez pantominę błagał ocalenia arcydzieła Titien'a, okazując, że gotów był pod utratą głowy, obraz skopiować zmniejszając go nieco. Wielki

ten artysta umarł w Toledzie r. 1579 ojciec Siguenza powiada, i my chętnie na to zdanie przystajem, że podróż do Eskurialu, przedsięwzięta jedynie w tym celu, aby widzieć jego obrazy, godna byłaby artysty i miłośnika sztuk nadobnych. Jedno z najpiękniejszych dzieł Navarett'a zdobi galeryą książęcia Landsdowne. Dona Maria, bohatyrka Gminy, wdowa Pacheki, żałobą okryta objeżdża na mule ulice Toledy podniecając obecnością swoją patriotyczny zapał zatrwożonych mieszkańców.

Imie Ludwika Morales'a Boskiego (*el Divino*) często było powtarzane, nie tylko w Hiszpanii, lecz i w krajach obcych. Nade wszystko, sławny jest przez talent wydania uczuć. Wyznać należy, iż niekiedy to wydanie było w nim przesadzone, i nie sądzimy ażeby wart był zupełnie tak wysokiego stopnia wziętości, na jakim go postawiono. Morales, wielkiego talentu człowiek, zdaje się jednak iż nadużył z jednej strony śmiałości, z drugiej drobiazgowego wykończenia. Wygładzał on pęzlem najdrobniej-

szy włosek; wyraz twarzy jego Panny Najświętszej przypomina Parmesana; doskonałém zaś stopniowaniem kolorów i użyciem cieniów zbliża się do szkoły lombardskiej. Najwięcej się zachwycają nad jego, *Ecce Homo*. Niepodobna wyrazić boleści bardziej uderzającej; lecz, podług naszego zdania, boleść ta nie jest bozką; rezygnacja w niej zbyt opuszczona, zbyt bojaźliwa, zbyt ludzka. W takiém dziele nie można zaprzestać na wydaniu uczuć materjalnych. Na włoskich to zapatrujmy się malarzy, jak umieli pogodzić cierpienie Chrystusa, który stał się człowiekiem, i wielkość Boga konającego, żeby odkupić rodzaj ludzki.

Na jakiś czas przed śmiercią jego, która przypadła r. 1586, Filip II wróciwszy z Portugalii, spotkał artystę na ulicy w Madrycie i zatrzymał go mówiąc: „*Morales'ie jesteś już bardzo stary!* — Tak jest, odpowiedział Morales, i bardzo biedny." W rzeczy samej, w rozdzieleniu malarzom łask monarszych, Morales był zapomniany. Odtąd pensya trzechset dukatów była mu zapewniona.

Dominik Theotokapuli, Grekiem mianowany, do szkoły hiszpańskiej, pomimo swoje nazwanie, należy. Podanie niesie, że uczniem był Titien'a, a styl jego dosyć się zbliża do stylu tego mistrza na udowodnienie powszechnego mniemania. W. r. 1577 przemieszkiwał on w Toledze, gdzie pracował nad cudownym obrazem *obnażenia Chrystusa*, znajdującym się dziś jeszcze u ołtarza w zakrystyi. Chrystus w szatę purpurową przybrany, nie tylko że ściąga wzrok wszystkich na główny przedmiot malowidła, lecz świetnego jeszcze blasku udziela otaczającej gromadzie, i nadaje przepyszną jedność kolorytu całemu obrazowi. W témże samém mieście w kościele Sgo Tomasza widzieć można drugie arcydzieło tego samego mistrza. Przedmiot tego obrazu dziwny polega na dawném podaniu. Widać w nim wnętrze kaplicy, grób otwarty i wielu panów możnych grubą przyodzianych żałobą otaczających ciało zmarłego. W świetnie otwartém niebie przy blasku promieni ukazują się, podług legendy, Swięty Augustyn i Sty Stefan,

którzy, dla oddania czci zwłokom i przez szacunek dla zmarłego, chcą błogosławionemi swojemi rękami złożyć go w grobie. Wyrażenie całego układu jest przecudne. Większa część osób gromady oddana z podobieństwem ich twarzy. W jego pracach szczególniejsza daje się widzieć niejednostajność; kiedy się zaniedba, dziwić się potrzeba, jak może zstąpić do rzędu najpośledniejszych malarzy: piękne zaś części jego obrazów, kładą go na równi z Titiene'm i Tintoretem. Umarł w bardzo podeszłym wieku w Toledzie r. 1625, był założycielem szkoły.

Naczelnik szkoły walenckiej, Wincenty Joannes, zasługuje na wzmiankę. Rafaelowy jego sposób robienia, dosyć dokładnie, naśladuje dawną szkołę włoską. Urodził się r. 1523, umarł 1579. Powszechnie żałują, że naśladowanie Perugin'a i starych włoskich malarzy zawładało to miejsce w jego obrazach, które udzielny charakter jego geniuszu zająć był powinien. Okazała spokojność jego figur Chrystusowych, prostota w ujęciu

jego portretów, piękne ułożenie Wieczerzy-Pańskiej, nad którą zachwycano się w museum paryzkiém i którą to Francya oddała Hiszpanii r. 1815, usprawiedliwiają uniesienie się z jakiém Pałomino mówi o tym artyście. Nad wszystkie jego obrazy przenosimy *Męczeństwo Swiętego Stefana*, jego roboty. Dzieło to składa się ze sześciu obrazów, z tych pięć iego własnej ręki, a jeden z jego rysunku przez jego ucznia wykonany. Prowadzenie świętego na męki, z tych wszystkich najwięcej nas zajmuje. Wściekłe pospólstwo otacza męczennika; już się upaja z góry krwią mającą się przelewać; postać świętego spokojna i niewzruszona. Obok niego, dowódzca prześladowców, fanatyk, jednak bez okrucieństwa; idzie krokiem spokojnym; lecz ponury, chociaż poważny, widna w nim boleść. Piękna to myśl, dzieło mistrza, wydadź tę głęboką różnicę dzikiej ślepoty pospólstwa od postanowienia fanatyka, który z przekonania fałszywego, lecz wrzącego w jego umyśle, tłumi w sobie uczucia ludzkości. Czyli Joannes zgłębiał tę scenę

w naturze? czy też zasięgnął jej w czasie któregokolwiek, z licznych naówczas, spaleń żywcem religijnych przestępców? Cóżkolwiek bądź, sam nawet Poussin niewiele miał myśli bardziej filozoficznych.

Filip II. ostatnich dni życia swojego, sprowadził do Hiszpanii wielu artystów włoskich. Przedmiotem wszystkich jego chęci na starość, albo raczej prawdziwej jego passyi, było ozdobienie Eskurialu. W dziwnym tym pomniku, ścisłość ducha mniszego przeplata się okazałością monarszą, razem z dziwactwem i wielkością, które na przemian znamionują charakter tego monarchy. Podczas wznoszenia się gmachu, często na pochyłości przyległej góry, zwykł był siadywać pod cieniem rozłożystych dębów i ztamtąd poglądał na pracujących. Skoro tylko ostatni kamień został już położony, poszedł natychmiast na chór i razem z księżmi zasiadłszy mszą z nimi odśpiewał. Tam mu też doniesiono o zwycięztwie lepanckiém. Podczas ostatniej swojej choroby, kazał siebie posadzić na wzniesieniu królewskiém, i gdy o-

brządek odprawiał się religijny, przy odgłosie organów, on oczy wzniosłszy na wielki ołtarz, ducha wyzionął w tej przepysznej świątyni, którą sam wybudował. Wielu malarzy florenckich do Hiszpanii przybyło powołanych staraniem tego monarchy; nie będą nas oni zajmować, chociaż się przyczynili do utrzymania panującego wpływu przewagi włoskich artystów, na ulegającą Hiszpanią.

W siedmnastym wieku, w epoce tej, kiedy to Mikołaj Pussin Dominiquino i Guerchin sami tylko utrzymują sławę malarską we Włoszech; wówczas kiedy Carlo Maratte, Carlo Dolce i Pietro de Cortone, wprowadzają do swych obrazów wieczne i nudzące powtarzanie pewnych form upoważnionych i sztukę do upadku nachylają, współcześni im Hiszpani Velasquez i Zurbaran wznoszą się i doprowadzają malarstwo do najwyższego szczebla świetności i udoskonalenia. W przeciągu tego wieku malarstwo hiszpańskie dosięgło swojego szczytu. Pedro Orrente naśladowca Bassan'a rodem z Murcyi, żył r. 1610. Większa część jego obrazów

mocą kolorytu i zgodnym ogółem piękności, przechodzi wartość robot mistrza, którego za wzór sobie obrał. Szkoła wenecka miała też uczucia niemniej dzielnego; był nim sławny Roëlas, urodzony r. 1560 w Sewilli z przydomkiem Kleryk Roëlas (*el Clerigo Roëlas*). W 1609, wyszedł z pod pęzla ten piękny jego obraz umieszczony w katedrze sewillskiej, wyobrażający tryumf Swiętego Yago nad Maurami podczas bitwy pod Clavijo. Patrząc jak wielkie przerażenie sprawuje na nieprzyjaciołach widok tego świętego, wątpić niemożna, że siła nadludzka przestrach rozsiewa. W kościele uniwersyteckim znajduje się zachwycający obraz Swiętej-Familii także tego samego mistrza, w nim wyrównawszy Tintoret'owi mocą i pięknością kolorytu, przeszedł go w nieznanej mu słodyczy i w doskonałém wydaniu uczuć. Swięty Hieronim Doniquin'a arcydzieło nieśmiertelnej sławy, znalazło rywalizującą z niém pracę w obrazie przez Roëlas'a wykonanym do kościoła tegoż samego miasta, z wyobrażeniem śmierci świę-

tego Izydora. Zdania o talencie Roëlasa nie można sobie utworzyć, niewidząc tej pięknej głowy umierającego w pośród kleru który go otacza dodając mu serca. Wielki ten malarz, zbyt mało znany, umarł w mieście rodzinném r. 1625.

W tymże samym czasie, szkoła waleńcka, szczyciła się imieniem sławnego Ribalta; ktokolwiek nie był w tém mieście, w ojczyźnie tego malarza, ocenić godnie jego nie potrafi. Miłość acz nie zrobiła go malarzem, dodała mu jednak potrzebnej odwagi do utrzymania nadziei i do osiągnienia wysokiego stopnia doskonałości w sztuce. Zakochany w córce swojego nauczyciela, prosił o jej rękę i pogardzony był od ojca, bo ten go uważał za upośledzonego artystę, i nie widział w nim ani talentu, ani zdolności do zapewnienia sobie losu. Pojechał więc Ribalta do Włoch, długo się tam uczył u celniejszych mistrzów, do Hiszpanii wrócił i odwiedził nauczyciela swego i młodą panienkę, którą zawsze kochał: malarza w domu nie było, pracownia jego pusta i na ko-

ziołkach zostawiony ledwo zaczęty obraz. Ribalta jął się pęzla, prędko i po mistrzowsku dokonał rozpoczętego dzieła. Można sobie wystawić zadziwienie ojca, kiedy powrócił. „Oto genjusz, oto artysta! zawołał, za takiego człowieka chętniebym ciebie wydał a nie za tego bazgracza Ribalta!“ Córka tajemnicę wydała i ślub wkrótce nastąpił. Ribalta dobrym był kolorystą, ślady swojego talentu zostawił tylko w mieście rodzinném.

Współubiegająca się szkoła sewilska niemniej wielkim postępowała krokiem. Ludwik Fernandez doskonałych sposobił uczniów: Pacheco i stary Herrera, Cuno i Murillo, uczyli się pod okiem Juan'a z Kastylli, który dobrym był nauczycielem, lecz malarzem miernym. Nie będziemy się zatrzymywać nad Pachekiem, zalety jego niewielkie, zasługuje on tylko na pamięć jako teść Velaguez'a i jako autor *Traktatu o Malarstwie.* W 1594, malował na karmazynowym adamaszku zbroje i może godła emblemata floty wysyłającej się do Ameryki południowej. Chwalą jeszcze doskonałość ma-

lowanych przez niego statków; szczególniejszy rodzaj tych robot, wyłącznie do Hiszpanii należy i służy do zdobienia wszystkich prawie katedralnych kościołów. Inkwizycya, która panowanie swoje rozciągała na wszystkie gałęzie tak publicznego jak i domowego życia, mianowała go *głównym dozorcą malarstwa;* człowiek, piastujący ten obowiązek, istnym był cenzorem, do niego należało ścisłą mieć baczność, aby obyczaje, przystojność i przepisy katolicyzmu w sztuce były zachowywane: Był to urząd bardzo zaszczytny, jak powiada Leon Bermudez.

Velasquez, wyrównywający w sławie Van Dyck'owi, uczniem był jakeśmy już mówili, swojego teścia Pacheki; uprzednio pracował on jeszcze pod okiem Herrer'y przezwanego Starym; malarz to szczególniejszy, porywczego i dziwacznego genjuszu, charakter zaś jego bardzo dobrze odpowiadał jego genjuszowi. Obchodzenie się gwałtowne oddalało uczniów od niego, i często pusta była jego pracownia. Natenczas, miał

zwyczaj wzywać swoję służącą i kazał jej w miejscach przez się wskazanych na płótnie szerokiemi massami układać kolory, po czém z tych plam niekształtnych i osoby i draperye sam wyprowadzał. Był-to człowiek dosyć złego życia, lecz zdolności wielkich: z powodu, że na miedzi najczęściej rytował, był podejrzany o fałszowanie monety. Aby uniknąć złych skutków zaskarżenia, umknął on do ermitaża Swiętego Hermenegilda, należącego podówczas do Jezuitów. Tam malował ten obraz męczeństwa, gdzie widać uciętą głowę toporem, otoczoną niebieskiej chwały promieniami. Filip IV r. 1624 zwiedzał ermitaż, i pytał o imie malarza tego obrazu. Odpowiedziano, że był nim *Herrera fałszerz monety*. „Nie, rzekł król, to niepodobna, człowiek tak wielkich talentów nie może ich nadużywać.“ Malarz przeto otrzymał pozwolenie powrócić do familii; lecz zaledwo stanął w domu, kiedy zaraz córka jego wstąpiła do klasztoru, a syn, okradłszy go wprzód, uciekł do Neapolu. Ten ostatni, dosyć dobry kolorysta, odznaczył się

szczególniej sposobem malowania ryb. We Włoszech, *Hiszpanem go, od ryb* przezwano.

Czas już przystąpić do tego wielkiego człowieka, który rozmaitością, objęciem wszystkiego i cudowną łatwością swego talentu, wzniósł się nad wszystkich spółrodaków swoich: Velasquez z rodziców portugalskich zrodzony r. 1599. Nazywał się don Diego de Sylva. Można o nim powiedzieć, że sam dla siebie był nauczycielem; mało zachował śladów udzielnego i gwałtownego talentu Herrer'y, podobnież i bojaźliwości Pacheki. Dla dokładnego poznania natury, ustawicznie malował wszystkie przedmioty które się tylko oczóm jego nawinęły. Jużto kopiował naturę obumarłą, już zbiérał wzory z żyjących osób, płacąc aby przed nim stawały w rozmaitych postaciach: przeto, z łaski zgłębiającej nauki jego w tak rozlicznych gałęziach, nie ma przedmiotu, od najszlachetniejszego aż do najpospolitszego biorąc, jakiegoby Velasquez nie pojął i z gruntowną dokładnością nie oddał. Często malo-

wał od pierwszego rzutu, tak umiał władać i pęzlem i kolorami. Szkoła wenecka, szkoła holenderska i florencka zdaje się, iż się zmieszały i połączyły na utworzenie Velasquez'a talentu: zadziwiający człowiek, który robił obrazy wnętrza, portrety w całej postawie, widoki zachwycającej piękności; który naturę żyjącą i martwą z równą wielkością wystawić umiał. Ztémwszystkiém najwyższy stopień talentu jego już się w dojrzałym wieku rozwinął: początkowe jego roboty nierównie są zimniejsze od tych, które potém najpiękniejsze dzieła jego znamionują. Z resztą życie jego było pasmem postępu ciągłego. Po zaślubieniu córki Pacheki udał się do Madrytu, r. 1622, zaszczycony tam opieką piérwszego ministra i powiernika hrabiego książęcia Olivares, otrzymał pensyą i mianowany został malarzem królewskim. Zaczął był portret Karola książęcia angielskiego, który potém panował pod imieniem Karola Igo, a natenczas z książęciem Buckingham'em, nierozsądnym przewodnikiem nierozsądnego pana,

przybył do Hiszpanii w nadziei pozyskania serca i ręki Infantki hiszpańskiej. Podmalówka portretu Karola Igo roboty Velasquez'a zaginęła; ciekawą byłoby rzeczą, porównać tę pracę, chociaż tylko zaczętą, z licznémi portretami tegoż samego króla, roboty Van Dyck'a. Pierwszy z ważnych obrazów poruczonych wykonaniu Velasquez'a, był: *Filip III wypędzający Maurów z Hiszpanii.* Za ten obraz mianowany został oddźwiernym królewskiego pokoju i prawo przebywania na dworze otrzymał.

W 1627 Rubens był w Madrycie. Zbliżyli się do siebie ci dway wielcy artyści, malarz flamancki, podniecił w hiszpańskim malarzu, chęć zwiedzenia Włoch, tej matki sztuk pięknych. Król niechętnie przyjmował prośby, z zapałem o uwolnienie zanoszone; potrafił on na resztę wyjednać sobie pozwolenie na wyjazd pod koniec r. 1629 opatrzony został jeszcze zalecającémi listami, które dowodziły wysokiego dlań szacunku i króla i hrabiego książęcia. W Wenecyi umieszczony został w pałacu ambassady, przejeżdżał potém przez

Ferrarę, Bononiją i Lorettę. Ztamtąd udał się do Rzymu. Papież w ręce mu złożył klucze Watykanu, gdzie przez rok cały swobodnie mógł zgłębiać arcy-dzieła Michel-Angela i Raphäel'a.

Genjusz Velaquez'a był instynktowy. Roboty jego podczas pobytu w Rzymie zdziałane, chociaż odznaczające się pięknością zarysów, mają przytém piętno niepewności, jakiegoś wyszukiwania i nieznanego mu naśladownictwa. Przemieszkawszy czas niejakiś w Neapolu, w towarzystwie spółrodaka swego malarza Ribera, zwanego *Espagnoletem*, wrócił do Wenecii, w 1631, gdzie z najwyższą czcią przyjęty został. Przez czas jego niebytności, król nie pozwalał nikomu swego portretu malować. Niełaska chociaż spotkała Oliwaresa, nie była jednak Velasquez'a udziałem. W 1648, znowu otrzymał pozwolenie pojechania do Włoch i dłużej niż uprzednio przebawił w Wenecyi; poznawał natenczas tę piękną szkołę będącą niejako ogniwem przejścia ze szkoły właściwie włoskiej do szkoły flamanckiej.

W Rzymie, zadziwił członków akademii Sgo Łukasza swoich współbraci, oddając im portret niewolnika swego Pareja i obraz niezrównanie piękny wyobrażający Innocentego X. Król wzywał go do Hiszpanii na powrot i z niecierpliwością go oczekiwał. Za przybyciem mianowany został na urząd *aposentador-mayora*, i w tej godności wysłany r. 1660, do Irun, po zawartym pokoju Pirenejskim, dla przygotowania tam królewskiego mieszkania. W tymże samym roku dnia 7 czerwca Filip IV. oddał rękę Infantki Maryi Teresy, Ludwikowi XIV, gotując tym sposobem ostateczny upadek tak pięknego królestwa, które już uprzednio ze szczytu wielkości poniżył, niedołężną ręką i nieprzewidującym umysłem rządy kierując. Velasquez spełniwszy obowiązki swej służby na wyśpie Bażantów (*l'île de Faisans*) wrócił do Madrytu, zachorował, a wkrótce Hiszpanija opłakiwała największego swego malarza.

Trudno dokładnie opisać to mnóztwo prac Velasquez'a; taką w nich rozmaitość

panuje. Za szczególny przymiot, za cechę tego malarza, chybabyśmy przyjęli, tę nadzwyczajną łatwość pęzla, która bawiąc się pokonywa trudności, co to z jednostajną mocą i z nienaśladowaném ujęciem wszystkiémi przedmiotami zarówno włada; w portretach nie ustępuje Titien'owi; jak Van Dyck, umie on nadadź swoim osobom tę szlachetność, tę godność i ozdobę w spójrzeniu, które po nich, dobrze umiał naśladować sir Thomas Lawrence: świadkami są łatwości, mnogie jego portrety Filipa IV. i hrabiego książęcia Olivares'a. W przedmiotach pospolitych, tak sama niezależność; równie dzielny, szczególniejszém wrażeniem uderza i udziela poezyi osobom i przedmiotom niemającym jej bynajmniej. Nic świetniejszego, nic bardziej wesołego, nic bardziej dytyrambicznego, jeżeli rzec można, nad jego *Zgromadzenie pijaków*, obraz znajdujący się w galeryi madryckiej. Na beczce we środku wzniesionej, jakby na tronie, siedzi człowiek wpół nagi, winnym liściem uwieńczony, i pasuje na Rycerza-Butelki jednego

ze swych współtowarzyszów; ten zaś w żołnierskim ubiorze, ręce na krzyż złożone, z głową pochyloną, z głęboką czcią zdaje się przyjmować godło jemu ofiarowane. Zebrani dokoła opoje uświęcają to powodzenie i zdają się poklaskiwać wyborowi Pana na beczce. Żaden malarz flamancki dzielniejszej bakchanalii nie wydał; żaden, tyle świetnej poezyi nadadź nie potrafił tym pospolitym i zmysłowym wyobrażeniom; złoty promień, zdaje się całej tej scenie przyświecać. Drugi znowu obraz rodzajowy zyskał sławę europejską. Układ jego bardzo jest prosty. W głębi pokoju drzwi otwarte za tło obrazu służą, wewnątrz Infantka dona Margarita z Austryi córka Filipa IV, przyjmuje z rąk jednej z dam swoich czarę pełną wody: po lewej stronie, sam Velasquez z paletrą w ręku maluje portret Infantki; po prawej zaś, dwóch karłów dworskich, Mikołaj Pertusano i Maria Barboła prowadzą i dręczą psa ulubionego, który zda się bydź nawykłym do ich obchodzenia się, bo spokojnym, cierpliwym i prawie drzémiącém

okiem na nich spoziera. Swiatło z głębi rzucone, rozchodzące się po całym pokoju, taką prawdą zmysły nasze uderza, iż zdaje się do rzędu cudów należeć. Łukasz Jordaens, ów malarz flamancki, który z zadziwiającą łatwością lecz razem tak niepoprawnie rysował, dla pokazania jak dalece nie pojmował używanych przez Velasquez'a sposobów do pokonania trudności perspektywy powietrznej i do oddania na płótnie czarodziejskim prawie pęzlem tej rzeczywistości, mawiał patrząc na ten obraz, że „to jest teologia malarstwa."

Malarz ten niemniej był doskonały w wystawianiu widoków, jak i wizerunków osób. We wszystkich prawie obrazach, oddalenie rzucone *di prima intenzione* jest arcydzielne. Wprowadzone gdzie w układ dzieła zwierzęta, wyrównywają robocie Snyders'a. Bydź może, iż najpiękniejszy jest jego obraz wystawujący markiza Spinola, na czele wojska swojego, przyjmującego klucze twierdzy od Gubernatora Bredy. Obszerna massa światła przedziela wojsko hiszpańskie od eskor-

ty generała flamanckiego. Pomiędzy témi dwiema gromadami tak dowcipnie przedzielonémi i tak odznaczającémi się nie tylko swém położeniem, lecz i wyrażeniem twarzy widać rozległą przestrzeń, która świeżą i bujną zielonością dowodzi obfitości ziemi flamanckiej i kilka pogorzelisk kurzących się jeszcze, przypominających zniszczenia wojny. Hiszpański generał po przyjacielsku rękę swą na ramieniu gubernatora położył, jak gdyby chciał, tą oznaką serdeczności, ulżyć cierpkiemu położeniu zwyciężonego. Nie można wydziwić się nad wyrażeniem tego poddania się losowi, tej powagi i smutku generała flamanckiego, tej szlachetnej postaci, otwartej i prawie łagodzącej jego przeciwnika zwycięzcy, i tej rozmaitości uczuć obudwóch gromad. Mało jest malarzy, którzyby naturę tak zblizka poznać jak on umieli; mało, coby ją z taką dzielnością do swych myśli nakłonić potrafili, nigdy jednak nieodstępując od prawdy. W jego sposobie nic nie ma wymuszonego, nic przesadzonego; jego wolny pęzel zawsze trafnie dotyka, i ten człowiek, którego styl tak

jest udzielny, tak do naśladowania trudny, wszystkie przedmioty z równą łatwością wykonywa.

Miał on, tak jak i każdy prawie obywawatel Hiszpanii w tej epoce niewolnika, który się zwał Pareja; ten, układając zawsze paletrę dla swego pana, powziął też myśl malowania, mówić jednak panu o tém nie chciał. Pewnego razu król, zwiedzając pracownią malarza, kazał sobie odwracać wszystkie obrazy oparte o ścianę.

„Co to za portret? zapytał król; zda mi się podobny do Velasquez'a.

— To mojej roboty, rzecze niewolnik rzucając się do nóg królowi; probowałem malować bez wiedzy pana mojego!"

— Don Diego! zawołał król zwracając się do malarza, człowiek takiego talentu, niewolnikiem bydź niepowinien.

Velasquez, zdziwiony widokiem pełnego zalet obrazu, wolność Parej'owi nadał, lecz ten przez wdzięczność, aż do śmierci pana swojego, przy nim pozostał. Wyzwolony Pareja mieszkał potém przy córce Ve-

lasquez'a, która weszła w związki małżeńskie z wybornym malarzem widoków Martinez Mazo. Galerya madrycka posiada kilka portretów roboty Pareja; w tym on rodzaju nade wszystko się odznaczył. Łatwością dotknięcia i dokładnością samegoż Velasquez'a przypomina.

Przemilczeć musimy mnóstwo imion drugiego rzędu, któreby jednak mogły uświetnić mniej bogatą szkołę malarstwa. Takiémi są: Eugenijusz Caxes, Antoni de Pereda, Józef Leonardo, Francisco Collantes, autor tego *Widzenia Ezechiela*, w którém ukazują się powstające szkielety, jedne zupełnie obnażone z ciała, drugie na pół przyodziane w ziemskie swe szaty; pomysł okropny i dziwny, widok ziemi w tym obrazie jest arcydziełem: Sebastian Llanosa y Valdes, ze szkoły Sewilskiej, uczeń Starego Herrer'y, tego malarza marszałek Soult w swoim zbiorze ma wyborny obraz; nakoniec, Hyacynt Hieronyme i Espinosa, dwaj malarze ze szkoły walenckiej obdarzeni genjuszem, którym jednak zarzucić można nadto przesa-

dy. Espinosa poetyckie miał pomysły. Museum królewskie w Madrycie posiada dwa jego obrazy, jeden z wystawieniem duszy cierpiącej, drugi błogosławionej. Co się tycze Estevan'a March, dobrym on był malarzem bitew, lecz w głowach jego daje się widzieć pewien rodzaj wyszukanej przysady, która sławie jego zaszkodziła. O Józefie Ribera, przezwanym Espaguolet'em nic mówić nie będziemy, ten bowiem chociaż się rodził w Hiszpanii, lecz tak długo we Włoszech przebywał i tam też umarł, że go Włochy bardziej mają prawo w rzędzie swoich malarzy pomieścić.

Franciszek Zurbaran, Caravagio hiszpański, bydź może iż wzór swój wyprzedził. Jest jednym z tych malarzy, co najszerzej pęzla używać umieli, przeplatając przytém massy mocnego cienia, dzielnie ujętém światłem, potrafił najzręczniej zachować zgodę przecudnego światłocienia. Odznaczają go wielkie draperye, szerokie massy rzuconego cienia; lecz nigdy nie psują ani expressyi ani effektu w jego dziełach.

W przedmiotach pobożnych, zastosowanie tego okazałego sposobu, wielkie sprawuje wrażenie. Swięty Tomasz Zurbaran'a jest jednym z najpiękniejszych w świecie obrazów. W obłokach, pośród czterech doktorów kościoła łacińskiego, ukazują się; święty Tomasz d'Akwino, ponad którym unosi się sława, ponad nią widać Chrystusa, Najświętszą Pannę, Swiętego Pawła i Swiętego Dominika. Na dole obrazu, na klęczkach z jednej strony, arcybiskup Diego-Deza, fundator kolegium, z drugiej imperator Karol-Piąty, w królewskim płaszczu z koroną na głowie. Przybliżenie całe w cieniu, dziwnie się oddziela od tła lśniącego ciepłym kolorytem. Nic piękniejszego nad czterech doktorów; święty Hieronim szczególniej, ż ręką podniesioną wskazuje palcem na niebo, i zdaje się w głębokiém rozmyślaniu bydź pogrążonym. Za granicą Hiszpanii marszałek Soult posiada ze dwanaście obrazów Zurbaran'a. W Monachium w galeryi widzieliśmy świętego Jana i Najświętszą Pannę tegoż samego autora.

Alonzo Cano, urodzony w Grenadzie r.

1601, ojciec jego był jednym z tych znanych w Hiszpanii artystów, co same tylko robili ołtarze (*retablos*). Uczył się Alonzo rzeźbiarstwa pod przewodnictwem Montanes'a, malarstwa zaś w szkołach Pacheki i Castilla. Przypisują mu, że był oskarżonym o zabicie swej żony. Mniemać przynajmniej można, że jego charakter był gwałtowny i dziwaczny, i że niejedno zląd przykre zdarzenie go w życiu spotkało. Gdy w pojedynku ranił współtowarzysza swojego Sebastiana de Llanos y Valdes, uciekał się pod wszechwładną opiekę Velasquez'a, który go uratował. Przez Filipa IV mianowany został kanonikiem katedralnym w Grenadzie, pod warunkiem, ażeby w przeciągu roku wszedł w obowiązki służby, on zaś poprzestał na ściągnieniu do rąk przywiązanych do tej godności przychodów, a przepisanej formalności zaniechał; przeto kapituła go wygnała, i niepierwej był przypuszczony do zajęcia krzesła kanoniczego, jak za przyjęciem, acz mimowoli, subdiakonatu. Zaledwo dokończył obrazu świętego Antoniego dla au-

dytora Grenady, gdy ten dał poznać, iż mu się robota nie podobała: Alonzo w oczach jego, obraz w szmaty podarł. Gdy kanonicy katedralni z Malagi, czynili postrzeżenia nad obrazami do ich choru malowanémi, porzucił robotę i obrazy zostawił niedokończone. Nakoniec, ażeby zgodnie jeszcze umierać ze sposobem swojego życia, przy skonaniu odmówił pocałowania podawanego mu krucyfixu, pod pozorem że źle był rznięty. Był to malarz odznaczający się nadaniem przezroczystości kolorów, pięknością ideału w figurach Matki Bozkiej, i szczególném staraniem w dokonaniu wszystkich szczegółów wystawianych figur, które są rzadkiej doskonałości i wykończenia.

Jak jego nauczyciel Montanes, podobnie i on wiele pracował nad malowaną rzeźbą, i przyznać należy, że wszystkich artystów hiszpańskich wyprzedził w tej dziwnej gałęzi sztuk pięknych. Hiszpani żadnego śrzodka nie zaniedbali do podniesienia ducha pobożności. Mniemali oni, że Matka Bozka mająca kolory i pozor rzeczywistości,

że męczennik zdający się bydź żywym i cierpiącym przy zgonie, mocniejsze uczucie litości i współcierpienia obudzić potrafią. Artyści ślepo byli posłuszni narzucanym na nich rozkazom. Ztąd wzrosła rzeźba nieprawa, która się przeciwi smakowi naszemu, a jakkolwiekby się nam wydała dziwaczna, niemniej jednak była dziełem wielkich genjuszów. Nie wiém, czyby nie można było wynaleźć jakiego podobieństwa, pomiędzy metodą hiszpańską poetycznych glosów, albo amplifikacyj poetyckich przeznaczonych do wyrażenia w sześciudziesiąt lub ośmiudziesiąt wierszach, myśli zawartej w wierszu jednym drugiego autora, a tym rodzajem malowniczej przesady, który jednostajność rzeźby chce upstrzyć rozmaitością kolorów malarstwa. Dosyć jest widzieć krucyfix Montanes'a w klasztorze Kartuzów w Sewilli, żeby przyznać, iż pomysł i wykonanie tego dzieła są robotą wielkiego mistrza. Zbawiciel blizki już zgonu, zwraca oblicze ku Matce swojej; wyrażenie zaś całey tej sceny, jest rozdzierającej patetyczności. Niemniej zadziwiający

jest święty Hieronim, tegoż autora; uczeń jego, Roldan, zrobił w domu miłosierdzia ołtarz, z wyobrażeniem pogrzebu Chrystusa. Oddalenie w niém wykonane w płaskorzeźbie, główne zaś figury odrębne: mówiąc właściwie, jest to w drzewie rznięte malarstwo. W tym rodzaju jednak nic piękniejszego nie ma nad Bogarodzice Alonz'a Cano, szczególniej te, które są małego rozmiaru, tych nie można uważać jakby za parodją prawdziwego życia. Wyraz w nich jest zamyślony i melancholiczny.

Gdybyśmy pisali całkowitą historją malarstwa hiszpańskiego, wielu innych mielibyśmy jeszcze do wspomnienia artystów. Lecz śpieszmy powiedzić coś o malarzu Murillo; on to pospolicie za granicą jest uważany za jedyną ozdobę w Hiszpanii. Ochrzczony w Sewilli 1go Stycznia 1638, wcześnie okazywać zaczął sposobność do sztuki i oddany był na naukę do Jana Castillo. Piérwsze jego roboty wyczerpnięte z tej szkoły, były suche i ubogie, tak jak jego nauczyciela. Jednakże, nawet w młodości, dał poznać swoje

zalety, już pięknêm wyrażeniem, już dobrze poznaną nauką. Przykład Zurbaran'a i Roëlas'a na lepszą go drogę wprowadził: około dwudziestego piątego roku życia swego, napotkał w Sewilli swego niegdyś współkolegę, Pedro de Moya, który od niego nieco starszy, jeździł był do Flandryi uczyć się ze wzorów Van Dyck'a, ztamtąd zaś do Londynu; gdzie pod okiem samegoż mistrza malował. Opowiadanie i przykład Moy'ego zachęcały Murill'a do podobnejże podróży. Lecz tak mało miał pieniędzy, iż na drogę z Sewilli do Madrytu, musiał wiele malować i przedawać obrazów nabożnych. Gdy się już dostał do Madrytu, Velasquez otworzył mu podwoje do pałacu w Eskurialu, gdzie przez dwa lata kopjował pilnie dzieła wielkich mistrzów. Od tej epoki aż do roku 1648, talent jego wznosił się bez przerwy; lecz wtedy zajaśniał, wtedy dosięgnął szczytu sławy tak świetnie rozszerzonej, gdy się ożenił z doną Beatrix de Cabrera y Sotomayor. Styl jego nabył łatwości, koloryt ognia, uczucie duszy kierowało pę-

zlem, a nic nie tracąc ze swego ideału, bardziej się do natury zbliżył. Bijografowie hiszpańscy cud ten przypisują miłości ku żonie, nie mamy zamiaru zbijać ich mniemania. Powołany do Kadyxu na odmalowanie wielkiego obrazu *Zaręczyn Swiętey Katarzyny* w kościele kapucynów, spadł z rusztowania, i nigdy dostatecznie wyleczyć się z tego upadku nie mógł. Umarł r. 1682 na ręku ucznia swego i przyjaciela, Nuneza de Villa-Vicencio.

Wielki ten mistrz mnóztwo po sobie zostawił obrazów; podług naszego mniemania, nie ustępują one w dzielności chyba obrazom jednego Velasquez'a. W rzeczy samej nic ładniejszego nad jego figury, w żadnych tyle szczerości i tyle anielskiego ujęcia nie znajdujemy. Celuje on w malowaniu kobiét i dzieci. Nikt wyrównać mu nie mógł w delikatności myśli i wykonania, ani w przyjemném wyrażeniu uczuć. Zdanie nasze nie jest za tém, ażeby podróż lub pobyt we Włoszech mogły udoskonalić rzadki jego talent. Jakiżby pożytek odniósł ten wielki człowiek,

ze wzorów pełnych przysady w obrazach Carl'a Dolce, Pietr'a de Cortone i Cignani'ego? Obrazy z nayświetniejszych jego czasów wzięte odznaczają się zadziwiającą wprawą i lekkością. Rzecby można, że jego pęzel ledwo dotykał płótna, tu i ówdzie zostawiał tylko świetne dotknięcia kolorów; bawiąc się i jakby na oślep dzieła swe dokonywać umiał. Często też Murillo używał sposobu bardziej wypracowanego, a nieraz zręczny ten artysta lubił połączyć w jednym obrazie obadwa sposoby. Tak więc, święte i niebieskie istoty, które siedzą lub stoją w obłokach, zdają się bydź odmiennego ciała i krwi od ziemskich zajmujących inne części obrazu; a ztąd, bogactwo, rozmaitość i złudzenie, do niepojęcia. Uważany jak kolorysta niemniej się odznacza; tło w jego obrazach często jest światło szare i zimne, przez co podnosi ciepły koloryt głównych swoich osób. Kościoły i klasztory starannie przechowywały arcydzieła tego mistrza, tylko obrazy rodzajowe rozeszły się: ztąd urosło mniemanie gminu amatorskiego,

że Murillo malował tylko żebraków i małe dzieci w kręgle grające. Prace jego w tym ostatnim rodzaju są bez wątpienia pięknego kolorytu i niepospolitego ognia, lecz żeby dobrze Murill'a poznać, trzebaby widzieć, jego *Zwiastowania*, jego *Magdaleny* a nade wszystko jego *Męczeństwo świętego Andrzeja*. Żaden malarz otwartego nieba i niebieskiego światła nie odmalował z tak głęboko pomyślaną prawdą. Wymienić nam jeszcze należy jego cudowną *Adoracyą pasterzów*, która się znajduje w muzeum madryckiém, i jego *Najświętszej Panny poczęcie*. Usposobił on kilku dobrych uczniów, między innymi Tobara, Meneses'a i Nunez'a de Villa Vicencio.

Tu ustaje wielka epoka hiszpańskiego malarstwa; nie znalazło ono godnego siebie historyka, my, nie pochlebiamy sobie abyśmy dokładny uczynili rozbiór wszystkich mistrzów i wszystkich arcydzieł jakie ono wydało. Swietność malarstwa kończy się razem z przyćmieniem blasku hiszpańskiego narodu. Wyradzająca się Hiszpanija prze-

stała wydawać wielkich malarzy; lecz i tego niemało, że przez półtora wieku rozwijała tyle zadziwiających płodów. Wielkie dzieło zostaje do przedsięwzięcia. Niechby rysownik i malarz, zwolennicy sztuki, mający doświadczoną już wprawę, przebiegli Hiszpanją, jej klasztory, pałace, kościoły i galerye; upoważnieni potrzebnym wstępem, niechby z dokładnością i uczuciem pokopjowali dzieła celniejszych malarzy: zbiór, któryby te prace, byle wiernie i z talentem wykonane, obejmował, stanowiłby jedno z najpiękniejszych museów w świecie i odkryłby malarstwu nieprzewidziane źrzódło odnowienia sztuki i natchnień wyniosłych.

(*Foreign Quarterly Review.*)

WILLIAM HAZLITT.

Ludzie rozważający wiek, w którym żyjemy, z podziwieniem najgorętszém, nie mogą się odjąć przekonaniu, by się nie zgodzić, iż w tej epoce tak na pozor błyskotnej, mało jest związku i całości, że nic nie ma rzadszego za dni naszych, nad sławę zupełną, genjusz wykończony, któryby siebie należycie pojmował. Wszystko dochodzi do nas ułamkami, wszystko się kruszy i rozdrabia na małe cząstki. Promienie światła biją ze wszystkich punktów widnokręgu, lecz nie środkują się w jedném główném ognisku; wiele blasku, lecz mało siły. Jasność rozle-

wająca się po powierzchni, lecz nieprzenikająca do głębi, usiłowania i proby wszelakiego rodzaju, liczne odkrycia rzadko dosięgające głównego śrzodka; talenta bardziej rozpierzchnione niż potężne w przedsięwzięciach; rozbiór i krytyka, którym więcej idzie o zniszczenie, niż o utworzenie; brak szczególniejszy wytrzymałej mocy, dzielnej woli i statecznych postanowień: nic pomnikowego, nic coby mogło zasługiwać na pamięć w przyszłości; taki jest charakter płodów naszej epoki.

Oto żartki i przenikliwy umysł się rozwija; zamiast tego co miałby objąć obszerny zakres wyobrażeń, zamiast gromadzenia skarbów do rozważania i myśli; zamiast upładniania długą pracą massy nabytych wiadomości, oddaje się nierozważnie piérwszemu przelotnemu kaprysowi go uwodzącemu, zdaje się, iż mu braknie życia, czasu i przestrzeni. Najpiękniejsze swe dzieła improwizuje; zabory myśli chciałby posunąć w bystrym biegu. Zamiast ścisłych wywodów logicznych, nie spodziewaj się odeń tyl-

ko porywczych uniesień i fantazyj. Wszechwładna zdolność pojmowania, służy mu do przechodzenia od jednego do drugiego przedmiotu, aby za jej pomocą, koleją rzucał się do malarstwa, muzyki, do teoryj politycznych, do nauk ścisłych, do metafizyki i poezyi. Rzekłbyś, iż to są tysiące iskierek wypadających z żelaza żarzącego się na kowadle. Z tego wynika niezmierne zmarnowanie siły, mało doskonałości w dziełach, wiele uchybień w wykonaniu i chwała mniej zaszczytna. Jakże ocenić talent, który się dopuścił na sobie częściami samobójstwa, jeśli tak rzec można, i nie zostawił światu żadnego żyjącego dowodu swej dzielności.

Nikt bardziej nad Williama Hazlitta, nie posunął dalej, tej potrzeby przedsięwzięć, probowania wszystkiego, dotykania się wszelkich wyobrażeń, poruszania wszystkich nauk i tej niemocyześrzodkowania wypadków ze swych prac i panowania nad własnym umysłem. Genjusz w wysokim stopniu ułamkowy, jak mówią Niemcy, zostawił tylko proby i zarysy, lecz tak różnych ro-

dzajów, pełnych tyle dowcipu, ognia i niepospolitej mocy, widoków tak nowych i głębokich, iż potomność o nich nie zapomni.

Hazlitt pisał we wszystkich dziennikach, bez celu, bez planu; dzieła tego prawdziwego *condottiere*, literackiego, jeśliby je zebrać w jedno, utworzyłyby więcej 10 tomów w 8ce. Niedbały, nie w sprawieniu skutku i zyskaniu popularności, lecz co się tycze czystości języka i doskonałości w ogóle swych utworów, już to rozsypywał dziwaczne ozdoby, to wybrédne szały, to szczególniejsze paradoxy; za główny cel zakładał, aby go czytano. Wpośrzód lskniących się blaszek i kamieni drogich fałszywych, które rozrzucał pełną garścią, znajdziesz sztuki złota wyrobione z przedziwnym gustem. Był to umysł żartki, subtelny, żwawy w dociekaniu przyczyn skrytych, w przenikaniu do ostatecznych głębi; krytyk pełen imaginacyi w stylu i uszczypliwej wesołości w wyrażeniu; niekiedy grający rolę arlekina, dla ściągnienia uwagi i skrywający filozofa, straszliwego postrzegacza i uczonego artystę pod

tą maską dziwacznie podrzyźniającą. Znałem go dobrze i umysł ten czynny, ruchliwy, śmiały, lecz nieporządny, wynurzył się przede mną nawet w swych tajnych skrytościach. Gardził on połową swych dzieł i uważał siebie za malarza, którego potrzeba zarobić grosz na życie, zmusiłaby do bazgrania *znaków*. Cała część stylu godzącego na ściągnienie uwagi: szumne i niedorzeczne przymiotniki, słowa szałem obłąkane, co się zdają miotać w tańcu i ryczeć jak czarownice w Makbecie, metafory przesadzone, błyskotki języka, wszystko co publiczność tak wysoko stawi, co szczególniej zwraca jej uwagę i dank zyskuje, wszystko to Hazlitt szczodrze rozrzucał; lecz sam on znał jakiej były wartości te nikczemne ozdoby.

W 1810 roku przechadzałem się po salach *wystawy* w Londynie, gdym postrzegł stojącego naprzeciw portretu Lawrensa, człowieka dosyć niekształtnej budowy i dosyć szpetnego, składu kościstego, nieregularnej postaci, fizyognomii żywej, dziwacznej, rysów kątowatych; osoba jego odznaczała się

szczególniej żywém i niespokojném wyrażeniem, znamionującém często żwawą czynność umysłu; oczy czarne, okrągłe i małe iskrzyły się ciągłym ruchem; ponad czołem znacznie wysokiém, wypukłém u góry, włosy płasko przylegające, w tył zarzucone, podnosząc się, zlekka się fryzowały na kołnierzu jego sukni. Na całej jego postaci można było widzieć znaki drażliwości. Szpetność jego bynajmninj nieodrażająca, owszem była malowniczą. Titien, ukochany malarz Hazlitta, z roskoszą zatrzymałby na płótnie, te rysy pełne energii i oryginalności.

Był on synem kapłana religii różnowierców, zamieszkałego w hrabstwie Surrey, przebywającego w Wem (*). Piérwsze nauki, ku którym skierowało go wyłączne zamiłowanie, były metafizyczne, i skłonność ta nie opuściła go, kiedy poźniej powołanie dziennikarza, nadało zupełnie odmienny kierunek jego pracom. Szczególniejszą własność jego

(*) Miasteczko w hrabstwie Salop.

umysłu stanowiła mieszanina gustu dziwnego do sztuk i subtelności metafizycznej. Familija jego była niedostatnią; należało obrać professyą. Kilka starych obrazów włoskich uderzyło wzrok jego; one to nadały piérwszy popęd jego genjuszowi, jako artysty. Postanowił on zostać malarzem; bez mistrza i przewodnika, chwycił farby i pędzel i wziął się za dzieło. W jego myśli żył ideał sztuki, piękność formy i kolorów. Najwyższy stopień, najwyższą doskonałość w malarstwie czuł on i należycie pojmował; lecz w tém chybiał, iż mniemał, że to pojmowanie może wystarczyć, że jego głębokie podziwianie dzieł wzorowych, że ten jego popęd instynktowy ku wzniosłej piękności, były pewną rękojmią rychłego powodzenia. W malarstwie wykonanie nader wiele stanowi. Dla porządnego wydania myśli, wielkich nauk, długich i pilnych prac potrzeba; bez mechanizmu sztuki, bez długich materjalnych ćwiczeń i usiłowań, bez praktyki statecznej i wytrzymałej, nic dokazać nie można.

Sztuka, kwiat delikatny, rozpęka się po-

woli i stopniami; jedno słońce nie jest dostateczne do rozwinięcia całej jego krasy: najżywsze uniesienie entuzyazmu, nie potrafi jednym rzutem wydadź tych piękności, jakich wykończenie i głębokość są skutkiem długiej pracy. Naprożnoby poczynający, którego sława Michała Anioła lub Rafaela z przeznaczenia mogłaby bydź udziałem, żądał w swych piérwszych probach, stopnia doskonałości, której typ idealny tkwi od początku w jego umyśle. Droga prowadząca do urzeczywistnienia tej wielkiej, szczytnej piękności, jest długą i przykrą. Dodajmy, iż im więcej jest doskonałości w duchu artysty, w wewnętrzném pojęciu w nas wlanych, tym trudniej wyrazić je w formach i kolorach. Można sobie wyobrazić, ile kosztowało pracy i długich ćwiczeń Rafaelowi z Urbino, aby mógł wydadź żyjącémi swe Madony, aby im nadadź bytność, odpowiednią czystemu poczęciu własnej jego myśli.

Hazlitt, którego pomysł był żywy, a entuzyazm do sztuk żywo podniesiony, zniechęcił się od piérwszego kroku. Przedział

dzielący go od wielkich mistrzów, ukazał się przed nim i zdjął go przestrachem. Sztukę, którą tyle umiłował, nagle porzucił, jak się opuszcza kochankę nadto piękną i zbyt dumną, niewiele dającą nadziei swym czcicielóm. Kilka portretów zrysowanych podług Tyciena i Rafaela mu zostało, i pod koniec jego życia było dlań roskoszą, rozważać te pomniki piérwszej namiętności, równie gwałtownej jak nieszczęśliwej. Przypominam sobie, żem widział oryginalny portret przezeń skréślony, starej niewiasty w sposobie Rombrandta, obraz charakterystyczny, uderzająca sprzeczność cienia i światła. Przezroczność i piękność kolorytu zastanawiały uwagę, a wyrażenie było silnie działającém. Widzieć się tam dawała niewprawność we władaniu pędzlem, równie też, iż artysta prędko się znużył długą pracą, jakiej wymaga rysowanie portretu. Wszelako jakże wyraźną była różnica między tym zarysem silnym i naiwnie wydanym, a zimną oschłością prób akademickich, jakie nasi młodzi malarze wystawują, przekonywają-

cych zarazem o wielkiej giętkości ręki i o bezsilnej płonności talentu!

Hazlitt już się wyrzekał malarstwa, kiedy pewien poeta, uniesiony świętém natchnieniem, przybył opowiadać w Shrewsbury. Był to P. *Coleridge*. Hazlitt sam zdał sprawę z dziwnego i podwójnego wrażenia, jakie nań wywarł świecki apostoł. Wyobraźmy sobie człowieka nizkiej urody, otyłego, z kolorami na twarzy, zapiętego aż po podbrodek, przywdzianego w frak mały, czarny, o połach bardzo kusych; z czołem szerokiém, z oczyma płomieniejącémi w zapale i wysłowiającego z wysokości swej katedry, najliryczniejsze i najgwałtowniejsze wylania się, na jakie się tylko duch ludzki mógł zdobydź od czasów Pindara. Hazlitt zarazem uderzony był tą dziwaczną karykaturą i zachwycony magiczną wymową, z jaką ów przypadkowy opowiadacz rozwijał swe teorye. Od tej chwili powołanie jego jak człowieka poświęcającego się naukom, było postanowione. Udzielać ludziom swych myśli przez słowa, żywym głosem, lub przez

słowa pisane, wydało się mu daleko łatwiejszém, niż uciekać się do śrzodków mechanicznych i trudnych, długiej pracy wymagających. Przybył więc do Londynu, jak czynią wszyscy literaccy kandydaci. Wówczas się poczynał rok 1799. Po pokoju zawartym w *Amiens*, udał się on do Paryża i wrócił do Londynu, gdzie obrał na pomieszkanie stary i niepozorny dóm Westminsteru. Jeremjasz Bentham część jego zajmował; Milton mieszkał niegdyś w tej, w której się Hazlitt pomieścił; Hazlitt to właśnie zajął mieszkanie w pokoju, gdzie autor *Raju utraconego* odpoczywał. Zapewne godną jest uwagi, iż ci trzej ludzie, sławni z tylu różnych względów, lecz wszyscy obdarzeni umysłem niepospolicie subtelnym i przenikliwym, jakby miejsce schadzki dali sobie w tym małym, odosobnionym domu, który ich obecność, że tak rzekę, uświęciła. Nauki metafizyczne zrazu zajmowały wszystek czas i całą myśl Hazlitta. On napisał w roku 1815 *Rzecz o zasadach działania w ludziach*, i różne dzieła tejże

natury, zasługujące na uwagę ze względu bystrości i siły dyalektyki. Tymczasem trzeba było żyć, metafizyka zaś jakkolwiek może bydź szanowną, mało daje materjalnych zasiłków swym wybranym. Hazlitt więc został spółpracownikiem wielu dzienników, między innémi *Times* i *Morning Chronicle*. Poruczono mu szczególniej krytykę teatrów, rodzaj pracy więcej niżeli którykolwiek bądź odpowiadający świetnej i analitycznej własności jego umysłu. On to piérwszy dał poznać zasługę Kean'a; kiedy nic więcej nie widziano w tym aktorze, nad pospolitość porywczo unoszącą się i prostą; on śmiał oprzeć się tej niesłusznej naganie i okazał ile nieudanej potęgi i silnego podniesienia zawiérał w sobie ten talent źle oceniony. Wszelkie śrzodki utrzymania się jego zależały od literatury, albowiem w tymże samym czasie należał do wielu przedsięwzięć księgarskich. Niekiedy nagły powrót do malarstwa, skłaniał go znowu wziąć się za pędzelki i płótno. Próżne usiłowanie! Nigdy, kiedy wstawał od roboty, nie zostawiał

skréślonej całej głowy lub uszykowanej w massę gruppy. Pewna dama, która mu pozwoliła umieścić rysy swej twarzy i córki w obrazie przezeń projektowanym, więcej niż dziesięć razy widziała przed sobą rozkładane narzędzia malarskie, a jednak nic, coby było podobném do jej fizyognomii, nie okazało się na płótnie.

Wiele z tych jego pism zebranych w jeden tom, ukazało się na widok publiczny w roku 1816 pod tytułem *Okrągłego Stołu.* W 1817 ogłosił swe *Charaktery Szekspira* i dawał publiczne lekcye, na które się tłumnie zbierano w instytucie *Surrey.* Wziętość jego szerzyła się; uchodził on sprawiedliwie za jednego z najdowcipniejszych w rozmowie w tych czasach. Ciekawa było widzieć go w sporach z P. Coleridge. Fraza jednego oblekała się w draperye powiewne i zasłony mistyczne; drugiego rzucając się w szybkich poskokach, rwisto się toczyła. Coleridge był subtelny; Hazlitt przenikający. Piérwszy wchodził we wszystkie zakręty pytania, śledząc jego kryjówki; drugi,

jeśli tak rzec można, zapuszczał ostrą sondę, którą rzucał w prostej linii do najskrytszych głębi. Hazlitt, Lamb, malarz Hajdon, Leigh-Hunt, składali zawiązek ludzi uczonych i artystów, którzy wytknęli naszemu krajowi nowe drogi. Oni to nade wszystko dali poznać to, co można nazwać naszym umysłowym patryotyzmem i wezwali do pilnego zgłębiania naszych klassycznych autorów szesnastego wieku. Genjusze Scott'a, Byron'a, Wordsworth'a, wydostały z tego źrzódła dawnego i zapomnianego część swych najpiękniejszych natchnień.

Dzieło pod tytułem *Rozmowy za stołem*, nastąpiło po tych, o którycheśmy namienili, i wielkie zyskało powodzenie. Tam to znajdują się przewyborne artykuły, tak często przywodzone, o przyjemności pochodzącej z malarstwa, o genjuszu i zdrowym rozsądku, o przygotowaniach do podróży, o politykach kawiarenijanych. Nie jest to sposób przyjemny i łatwy Addisona, ani ironija ostro rażąca Steela; lecz zdolność daleko rozmaitsza i wymyślniejsza. Subtelność meta-

fizyczna; już to stanowi tło, już ozdoby w małych obrazach, pełnych koloru i życia. Jest to coś niespodziewanego w wyrażeniu, sposób nieszykowny i nagle poczynający, przerywany cieniem i światłem, półcieniami i punktami błyszczącémi; jak gdyby Rembrandt lub jeden z jego uczniów, wziąwszy pióro zastosował do sztuki pisania, nie zaś do malarstwa, zwykłe własności swego talentu. Język angielski wiele jest winien także Williamowi Hazlittowi; on to przywrócił język potoczny; dzięki mu, można drukować każdemu człowiekowi, z dowcipem nieprzymuszenie rozprawiającemu, wszelkie rozmowy potoczne w piérwotnej ich naturalnej otwartości. Zaiste prawdziwą była klęską owa szumna dźwięczność słów łacińskich i greckich, do których nas Samuel Johnson przyzwyczaił. Scisła forma, do jakiej myśl stosować należało, nie dozwalała najmniejszego wzlotu wyobraźni: i jakżeby człowiek natchniony mógł wyrażać i udzielać swe myśli, często subtelne i dziwacznę, gdy musiał pokonywać zawady formy zawsze jednej i

niezbędnie cięższej w jej powadze. Retorowie rzucili klątwę na Hazlitta, był to zdaniem ich arlekin i kuglarz literatury, pisarz bez prawideł i bez mocy. My zaś, co wyznać winniśmy, jesteśmy zdania publiczności i nad przymioty pożyczane, podrzyźniające doskonałości, przekładamy rzut nieudany i otwarty, choćby niedokładnej myśli.

Najwyższą roskoszą jego umysłu były żwawe rosprawy. Jeśliby chciano go obwiniać o tę skłonność wojowniczą, wciągającą go w ciągłą polemikę; należałoby przypomnieć, że bezstronność, potrzeba poznawania prawdy pod wszelkiémi względami, dawały pochóp do tych walk, które lubił staczać. To ćwiczenie umysłowe, miało dlań wdzięk największy. Chwytał się on strony pytania, jakiej nieprzyjaciel nie obrał i wchodził z nim w zapasy. Przynajmniej zostawiał pole wolne swym przeciwnikom i walczył tylko bronią dozwoloną. Na nieszczęście, przymiot ten, nie wielu umiało prawdziwie ocenić, tak, iż potrzebę śpierania się, brano w nim za nieprzepartą namiętność do

sporów, za drobiazgową uporczywość. Nieprzyjaciele widzieli tylko złą jego stronę; na odwet on bywał niekiedy względem nich niesprawiedliwym. Nikt zręczniej nie schwycił słabej strony Coleridge, którego piękny talent nuży się w daremnych usiłowaniach. Nikt lepiej nie pojął Walter-Scotta, w którym on odkrył brak namiętności, a nawet filozofii, o co go obwiniało tylu innych po Hazlicie. Nakoniec, jeżeli on nielitościwie rozbierał dziecinne subtelności Wordsworth'a, temuż samemu krytykowi winniśmy ukazanie owej wielkości, czułości i tej siły, jakie się skrywają pod témi dziecinnémi śmiesznościami.

Ponieważ Hazlitt lubił świat i towarzystwo, skłonność ta lub wada, zjednała mu rozgłośną wziętość i obudziła zawiść wielu nieprzyjaciół. Mieszkał on naówczas w Holborn, lecz kiedy przedsiębrał napisać dzieło nieco obszerniejsze, opuszczał Londyn i zamykał się w austeryi zwanej *Winterslowhut*, położonej pod lasem salizburskim. Tam to bez książki, w zupełném odosobnieniu, brał

się do dzieła i kończył, mniej niż w tydzień, tom cały. Piękne jego lekcye o wieku Elżbiéty, były napisane w Winterslow. Podówczas w zupełnej samotności, pamięć tego co czytał i co nauką przetrawił, ożywała w nim bystrzej i z większą świeżością. Nie trwożąc się zwracał surowy wzrok na własne uchybienia; one mu dostarczały przedmiotu do rozwagi, i wady nawet służyły ku pokrzepieniu jego umysłu. Po dniu przepędzonym pod drzewami w Winterslow, styl jego nabierał więcej blasku, a myśl więcej siły. Nadzwyczajna jego wstrzemięźliwość, gusta umiarkowane, czyniły podobnie skromne życie dla niego łatwém, a nawet przyjemném. W rzeczy samej był w nim artysta, teolog i filozof.

Opinije współczesne roztrącały się o niego falami, nie mogąc go zachwiać. Był to umysł niepodległy. Wszystko, co się nie zgadzało z jego zasadami, czego nie stwierdzało własne jego doświadczenie, dlań nie istniało. Wielkie to było dobro, lecz nie bez złych skutków. Bezwątpienia, nie pod-

dawał się on potokowi wyobrażeń pospolitych i przyjętych przesądów, ani chmura przypomnień pożyczonych z książek, nie ćmiła własnego jego sądu. Lecz z drugiej strony pozbawiał się potrzebnej nauki i przepędził lat dwadzieścia swego życia na roztrząsaniu i rozprawianiu o tém, czego się nauczył przez piérwszych lat dwadzieścia. Życie jego jak człowieka uczonego i literata, było tylko długą wojną. Chciał on dobrowolnie lub siłą skłonić innych ludzi do zasad przez się utworzonych i wynikających z piérwszych jego nauk. Widziano jak wskrzeszał zgasłe świetności, jak nastawał na sławę ugruntowaną, jak swym namiętnościom umysłowym, gustom w rzeczach literatury i sztuki, nadawał wdzięk magiczny czarującego stylu. Lubił on Szekspira i Walter-Scotta. Bystrość jego umysłu skłaniała go do podziwiania się tym ludziom, którzy poznali i zgłębili ród ludzki we wszelkich jego rozmaitościach. Przeciwnie zaś nie lubił Byrona, którego poezya splenem dręczona, rzucała kolór jednostajny,

pochmurny i zarazem żarzysty na całe przyrodzenie. Wiele także miał skłonności do Karola Lamba, dla jego naturalności, łatwości w wypowiedzeniu i wysłuchaniu wszystkiego, dla obyczajów łagodnych i jego talentu, którego oryginalność, zbliża się do nienaśladowanego wdzięku starożytnych pisarzów.

Sława jego daleko byłaby świetniejszą i większą, jeśliby od początku w swym zawodzie, nie obruszył przeciw sobie mnóstwa nieprzyjaciół, którzy krok w krok za nim tropili, nigdy go nieopuszczając. Nie powodując się jak tylko namiętnością, humorem lub chwilowym zapędem, tą drogą postępował Hazlitt aż do końca swego życia, zawsze otoczony zastępem, który śledził najmniejsze jego poruszenia, niweczył jego zamiary i nie przestawał kazić jego charakteru i sławy. Filozofija Hazlitta panowała tylko w jego myśli, nie rozciągając się do spraw życia. Usterki jego były liczne i wiele mu zaszkodziły. Wydanie książki niemoralnej pod tytułem *Liber Amoris*, nara-

ziło go na szwank niepowetowany, szczególniej w Anglii, w kraju pełnym hypokryzyi, tudzież pedanckim, gdzie chętnie przebaczają utajonym występkom, lecz bez miłosierdzia karzą nieprzyzwoitości. Dodajmy do tego jawne przezeń gardzenie sławą spółczesną. Mniemam wszelako, iż można wymierzać uzdolność autora i prawdziwą jego potęgę umysłową, podług stopnia mniejszej lub większej sposobności, ku tej przemijającej chwale, którą zwą rozgłośną wziętością.

W 1824 r. Hazlitt wydał swe *Uwagi* o galeryach obrazów miejscami po Anglii będących. Nie znam autora, któryby potrafił za pośrzednictwem słów, żywiej przedstawić obraz, o którym mówi. Krytyka jego jaśnieje barwami, rozbiór pełen wzniosłości. Jeżeli zaś niekiedy blask ów i przezroczność mienią się przed oczyma, jak różnofarbne szyby w oknach kościelnych, co za różnica jednak między podobnym sposobem, i analizą suchą, krytyką techniczną a subtelnościami metafizycznémi, tak pospolitémi u pisarzów o sztukach rozprawiających. Kto

nigdy nie widział dzieł Holbeina, Mikołaja Poussin, Watteau lub Rembrandta, może się im podziwiać w pismach Hazlitta.

W roku 1825 znowu Hazlitt zwiedził Francyą i Włochy. W zbiorze notat z tej jego podróży, notat pisanych jednym rzutem pióra, znajduje się mnóstwo opisów malowniczych, deklamacyj wymownie wydanych i ciekawych postrzeżeń. Nic świetniejszego nad jego obraz Wenecyi i Ferrary. Uwagi jego także o obyczajach Włoskich i Francuzkich, niemniej zasługują na chlubną wzmiankę. Słyszałem powiadających, iż jego porównanie Panny Mars z Panią Pasta, było przyczyną poróżnienia między témi dwiema bohatyrkami, i sam Hazlitt stwierdził prawdziwość tej anekdoty, gdym go o to zapytywał. Podług niego, aktorka francuzka piérwsza zerwała stosunki przyjaźni z Włoszką.

Hazlitt lubił teatr i aż do ostatnich dni życia nań uczęszczał. Znamienita aktorka jak mistriss Siddons, była dla niego przedmiotem

czci bałwochwalskiej. Kilka kart najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek napisał, były poświęcone tej sławnej w tragedyi aktorce i jej synowicy powołanej jak się zdaje wstępować w jej ślady. Ostatni raz gdym go widział, było to w Covent-Garden, gdzie miał wolne wejście; mówił dowcipnie ze zwykłą sobie żwawością; nic nie zapowiadało, iż śmierć się nad nim unosiła i miała go w dni ośm zabrać. Wiadomo, iż w Anglii *lobbies* albo galeryje półkrągłe, otaczające salę, są zachowane dla klassy niewiast nie tak zalecających się przystojnością obyczajów, jako raczej osobistą pięknością i okazałością ubioru.

„Zdaje się mi, rzekł do mnie Hazlitt, na nie ukazując, że widzę jedne z tych ram rzniętych przez artystów szesnastego wieku we Włoszech, ramy zapełnione dziwnémi arabeskami, przedstawujące bachanalja, głowy faunów i nimf igrających z satyrami.“ Były to ostatnie słowa, jakiem odeń słyszał. W ośm dni potém, zakończył on życie w swém mieszkaniu na Frith-Street.

Nie można powiedzieć, iżby Hazlitt był

kiedykolwjek biédnym, lecz pewną jest, iż kieszeń jego zawsze była pustą. Nikt odeń lepiej nie znał sztuki równoważenia dochodów i rozchodów, albo raczej działania tak, iż jego długi zwykle przewyższały przychód. Tej to skłonności wydatkowania, zapędnej i nieprzewidującej, przypisać należy w wielkiej części znaczną summę talentu jaką zmarnował i rozproszył w tych dziennikach i dziełach lekkiej treści, których czas nie przechowa pamięci. Nadzwyczajna jego łatwość pisania, wprowadziła go na tę nieszczęśliwą drogę, na której za dni naszych trwoni się tyle niepospolitych talentów.

Bez względu atoli na wszelkie wady, jakie mu można zarzucać, jest to jeden z najznakomitszych pisarzów naszego wieku. Jak Diderot z którym więcej niż pod jednym względem ma podobieństwa, on nie zostawił pomnika; równie jak ten pisarz, rzucał kłęby dymu zmięszane z iskrami mocno świecącemi. Metafizyk, jak pomieniony pisarz, podobnież miłośnik sztuk pięknych, jak tamten niezwalczony zapaśnik w sporach, wznosił

się on często do wymowy podziwienia godnej. Jakby na przekorę zwyczajom i nałogom krytyka, zbyt żywa czułość od czasu do czasu ukazuje się w jego pismach. Naprzykład, na widok Burleigh-house, jaki w piérwszej swej młodości zwiedzał, w uniesieniu woła:

„Ach! czegożbym nie dał, aby bydź dzień jeden, przez jednę godzinę, ba nawet jednę minutę, tém, czém byłem niegdyś! Jakże się wszystko w około mnie zmieniło! — Kiedy głos głuchy i odległy wioslarza z nad brzegów dochodził przez błota trzciną zarosłe i uderzał me ucho! — kiedy po raz piérwszy postrzegałem całą piękność koloru czystej, aksamitnej, wilgocią zroszonej darniny, przede mną się rozciągającej, wyższą nad wszelką biegłość pęzla! — kiedy nowy instynkt, nowa żądza napawania się roskoszą, wzmagały się w oczarowaném mém łonie! — kiedy w dzień zimowy o poranku z radością przebiegałem okolice Peterborough'u, przypatrując się z ciekawością dziecka i szczęściem malarza, tym rozległym sadzawkom ograniczającym

widnokrąg, gdym widział tę perspektywę godną Pawła Poter, stada, młyny, chaty z dachówkami czerwonemi błyszczącémi pod słońcem! Ach! gdybym mógł znowu mieć w życiu taką chwilę, w którą tysiące form obłoków dziwacznie rozwiewających się w powietrzu, były roskoszą dla mnie! — Jeśliby mnie zdołano wrócić szczęście, odprawowania pielgrzymek do mojej starej chorej matki, pielgrzymek do miasta, gdzie wzięła życie, do wiejskiej majętności, gdzie była wychowana! — Gdybym mógł z równąż przyjemnością opiérać się na ogrodzeniu, jakie ją podtrzymywało, gdy jeszcze była małą dziewczynką i niepewne stawiła kroki! Jeślibym mógł odzyskać szczęście z jakiém rozważałem zachodzące słońce!"

Jest to, wyznać potrzeba piękny i patetyczny nagrobek młodości i wszystkich jej uciech rychło ubiegłych.

Inny urywek z Hazlitta o prędkiej i niewstrzymanej zagubie dzieł sztuki, nie mniej się wydaje mi pięknym.

„Czegoż się uskarżać na to krótkie trwa-

nie? Dla czegoż poezyja nie przestaje opłakiwać tak patetycznie, prędko niknącej piękności swej siostry? I jakże! piękny obraz, alboż nas nie przeżyje! A kiedy go już nie ma, nie zostawuje-li on po sobie światłego i wiecznego śladu? Fidyas był nieśmiertelnym, nim marmury Elgina były odkryte. I cóż on zyskał od tego czasu na tém odkryciu? Imie Michała-Anioła, którego dzieła są nam tylko znane ze sztychów, malowideł zatartych, rzeźb uszkodzonych, nie jestże najsławniejszém w dziejach nowej sztuki? Ludzie! potrzebaż, aby was zaspokoić, ubiegać się o nieśmiertelność z naturą? Ach w zamierzchłej pamięci wieków, imienia, pomnika, dosyć jest dla was.

„Mniemam, iż uczucie znikomości dzieł ludzkich, nadaje coś tkliwszego i więcej, jeśli tak rzec można, ludzkiego tryumfowi i szczytności sztuki. I jakże! ręce zatracie podległe, miałyżby wydawać dzieła nieulegające zagubie? Taka nieśmiertelność byłaby obelgą natury, ubliżaniem Bogu. Szlachetna myśl starożytności nam pozostaje. Bieg i

kolej wieków, wyrażone są na ziemi, niezglózowanémi głoskami. Nigdy nowożytny pomnik nie wraża tyle uszanowania jak ruiny; nigdy starożytność nie uderzy tak żywo wyobraźni, jak kolumna mchem pokryta, całkiem okruszona i waląca się w pośrzód pustego pola chwastem i cierniem zarosłego. Ruiny, jakiekolwiek one są, szczątki obrazów, rzeźbiarstwa, lub architektury otwierają dla nas długą perspektywę minionych czasów!"

Można byłoby tom napisać zebrawszy wszystkie przygody i dowcipne wyrzeczenia Hazlitta. Pewnego dnia z przyczyny, iż nie obrachował należycie swych wydatków, ujrzał się on w *Stratford* bez grosza. Bóty mu były nie w czas; chciał je więc zamienić na parę trzewików lub lżejsze obówie. Lecz go najwięcej zdziwiło, iż na swe bóty jakkolwiek nowe, nie znalazł kupca. Okoliczność ta wraziła się mu mocno w pamięć i służyła za text do powstawania przeciw nieliberalności angielskiej. „Cóżkolwiek bądź oni robią, nawet w ich dobrych uczynkach, mawiał on, zawsze znajdziesz u tych Angli-

ków chęć skrytą, aby nikomu nie sprawić przyjemności.

— Może, ktoś mu uczynił uwagę; że ci do których udałeś się z swém żądaniem, obawiali się aby im bótów nie skradziono.

Ta uwaga mocno go zastanowiła i ze zwykłą sobie otwartością, zawołał:

„Systemat mój jest zachwiany.“

„Poezyja Tomasza Moore, mawiał on, ma wszelką wykwintność pospolitości i całą świetność, jaką się stroić można w złém miejscu. Jest to muza sztuczna, osypana mnóztwem drogich kamieni udanej wartości, która czując własną słabość, stara się jaśnieć, nie mogąc bydź piękną: rżekłbyś, iż to jest jeden z tych ichmościów, nieprzyjaciół powszechnego bezpieczeństwa, którzy, aby się stać podobnymi do ludzi porządnych, wieszają u zegarka z pół tuzina pieczątek przeciążając do zbytku palce mnóztwem pierścieni i błyskotek.“

Razu jednego rozmawiałem z nim o Rafaelu, porównywając go z Michałem Aniołem. „Stawić ich w jednym rzędzie, rzekł on do

mnie, byłoby wielkim przesądem; niepodobna ich porównywać. Z wytrwałością i długiém ćwiczeniem się, nie wątpię, iż każdemu się powiedzie w rodzaju Michała Anioła: jego pozorna wielkość zadziwia, lecz trudno aby on mógł wytrzymać ścisły rozbiór. Wycelował on tylko w udzielnej części sztuki i to nie najlepszej. Rafael zaś był wielkim w niejednej części swej sztuki zbyt trudnej i nader delikatnej. Jeden się wznosi jak trąba morska, zjawisko potworne, wszystko zaciemniające przed sobą. Drugi podobnym jest do jeziora o przezroczystych wodach, którego rozległe i spokojne zwierciadło, świat cały odbija nowej mu przydając piękności.

(*New Monthly Magazine-Revue britannique.*)

Dla dopełnienia obrazu życia tego niepospolitego pisarza, przytaczamy tu jeszcze wiadomość o nim, tak jak ją znajdujemy w jednym z nowszych niemieckich encyklope-

dycznych słowników: „*William Hazlitt* syn księdza sekty Unitaryuszów w hrabstwie Shrop, oddał się w swej młodości malarstwu i niemałe w tej sztuce uczynił postępy nim pęzel na pióro zamienił. Całe usposobienie jego umysłu było raczej krytyczne, niżli twórcze: nie był on w stanie swych wyobrażeń z własném zaspokojeniem przedstawiać i zamiast zajmowania się samą sztuką, gubił się w rozprawach o jej zasadach. To właściwe skierowanie umysłu okazało się w pierwszém pismie z jakiém wystąpił, t. i. w metafizycznym traktacie o zasadach działań ludzkich. W piérwszych czasach swego pisarskiego zawodu był on referentem o sprawach parlamentowych i sądowniczych, o których dostarczał artykułów do gazet i w 1808 r. zostawał w związku szczególnie z *Perrym* wydawcą *Morning Chronicle*, z którym się nakoniec poróżnił, ponieważ w swych politycznych zasadach, bardziej był *radykalistą*, niżeli *wigiem*. Takowe zatrudnienia najpodobniej podały mu myśl do dzieła *The eloquence of the british senate* (Londyn 1808), w którém pomieścił

wybór najlepszych mów parlamentowych od panowania Karola I. aż do najpoźniejszych czasów, z objaśniającémi biograficznémi i krytycznémi uwagami. Nowa Grammatyka angielska, jaką w r. 1810 wydał, tę ma zasługę, iż uczyniła przystępnémi dla ogółu i uczniów po szkołach, wyższe widoki nieocenionego Horne-Tooke i innych głębokich badaczów języka. Odtąd całą swą działalność i prace szczególniej poświęcił gazetom, do których pisał o polityce, teatrze i sztukach obrazowych. Wiele z tych rozrzuconych rozpraw, pisanych do dziennika politycznego *The examiner*, jaki wydawał z Leigh Hunt'em, zebrał poźniej w jedno i wydał w osobnych książkach *The round table* (2 tomy Londyn 1817) i *Political essays and sketches of public characters.* Myśli swe o dramaturgii wyłożył w piśmie *Characters of Shakspeare's plays* (Londyn 1817): nie zdoławszy wszelakoż przy trafności niektórych widoków, ogarnąć całej głębokości tego poety. Hazlitt pozyskałby niepospolitą sławę, gdyby pismo jego *The literature of the E-*

lizabethan age, wszystkie żądania głębokiego badacza zaspokoić mogło. Jako krytyk zawsze cierpki i uszczypliwy, nie wyrzekł się tego charakteru i w *View of the british stage* (Londyn 1818). Jego lekcyje o poetach angielskich, jakie wykładał w r. 1818 w *Surrey institution*, wydane po tytułem *Lectures on the british poets*, przy wielu trafnych zdaniach, które tylko krytyków starej szkoły oburzyły, nie są wolne od opacznych widoków i przysadnych ozdób. Nierównie wyższe i głębsze są jego krytyczne rozprawy, rozproszone po rozmaitych zbiorach, o przedmiotach sztuk obrazowych i pismo o kollekcyjach sztuk pięknych w Anglii, w których był panem traktowanych rzeczy. Do rzędu pism jego powszechną wziętością zaszczyconych i najwięcej czytanych, należą: *The table talk*, *the spirit of the age* (Londyn 1825) i *The plain speaker*. Najobszerniejsze i najdokładniej wypracowane jego dzieło jest *The life of Napoleon* (we 4 tomach Londyn 1828), wprawdzie równie jak dzieło Walter Skotta, przeciw któremu powstawał, duchem

stronnictwa skażone, napełnione bardziej rozumowaniem niż historycznémi opisami, które atoli zawsze będzie pomnikiem szacownym jego zdolności i mocy ducha. Ostatnie jego pismo *Conversations of James Nortcothe* (Londyn 1830), zawiéra w sposób zajmujący wyłożone roztrząsania o literaturze i sztuce w rozmowach, z najpiérwszymi angielskimi artystami, pełne trafnych i niepospolitych uwag. We wszystkich pismach Hazlitta daje się widzieć brak gruntownej nauki. Zamknięty w ciasnych granicach wyobrażeń, których się upornie trzymał, jedynie wyższością swego dowcipu przetwarzał je rozmaicie, znowu się do nich wracając, bez względu na nowsze prace i badania innych. Przy swém umysłowém wyosobnieniu, nie rad do ksiąg się uciekać, do właściwych prac uczonych nie był usposobiony, lecz że go potrzeba zmuszała do pisania, przeto starając się rzeczy dawne przerabiać nanowo, często był przesadzonym i niezrozumiałym. Nie raz na takie wpadał pomysły, jakie podobne były do marzeń obłąka-

nej gorączką fantazyi. Jeżeli zaś w swych umysłowych widokach, zeszedł z ubitego szlaku, jeżeli w swych politycznych zasadach, należał do silnego politycznego stronnictwa, z drugiej strony przez swe słabości i ustérki w życiu, dawał powód swym przeciwnikóm do zawziętego nań powstawania. Niesprawiedliwości gazet torysowskich do żywego mu dojadły i zjątrzyły w nim cierpką drażliwość, która zakłóciła pokoj jego umysłu, pozbawiając go koniecznej, w zdaniach bezstronności. William Hazlitt zakończył życie 18 Września 1830 roku w Londynie."

KARNAWAŁ JANA PAWŁA.

Chcę się pokusić o danie jakiegokolwiek wyobrażenia jednego z romansów Jana Pawła Richtera, który mi się wydał godnym tego, ażeby go na język nasz przełożyć. Jan Paweł chciał postawić w sprzeczności z sobą, z jednej strony tkliwość przyrodzoną w swojém najszczérszém i najgorętszém rozwinieniu, z drugiej zaś czułość sztuczną, z naczytania się romansów, z widowisk teatralnych i z wykwintnej cywilizacyi zrodzoną. Dwie osoby, te dwa pomysły wystawują: *Albano de Cesara* jest wyrazem prawdy, natury, tudzież uniesień ku idealności; *Roquairol*, jest godłem kłamstwa, przesadzenia, słowem wszystkiego co tylko do romansów i teatralnej sztuki należy.

Myśl wewnętrzna niemieckiego autora powstaje przeciwko naśladowcóm śmiesznym, wstaje -Jakóba, i Kotzebu-Werther'a, Jana-awaniem, żywe się nader e'go: ale ztém powsta i rzetelnej połącza. Dwoi-uniesienie ku czułości sty ten lyryczności wraz z exaltacyą, czuć się daje we wszystkich romansach symbolicznych i dziwacznych, które pod tytułem, TITAN, Jan-Paweł ogłosił.

Roquairol jest gatunkiem przeczutego Lorda Bajrona: poczytywał on za swoję powinność, równie jak Werther życie od samobójstwa rozpocząć. Bal wybrał sobie za scenę tego czynu, i zręcznie chybić się potrafił. *Cesara*, młodzieniec prosto-duszny, tknięty dowodem tym heroizmu, a nazbyt szczery, żeby go pod ścisły rozbiór miał poddawać, stara się o przyjaźń *Roquairol'a*, który przejęty całkiem przysadą i udawaniem, usiłuje widzenie się swoje z *Cezar'ą* tajemnicą osłonić. Przyrzeka zatém zejśdź się z nim albo na balu redutowym, albo po balu w pogrzebowym zwierzyńcu, który *Tartarem* nazywa.

Owoż opisanie szczególniejsze balu maskowego, na którym się *Cesara* znajduje. Całą w niém osobliwość niemieckich sposobów mówienia starałem się zachować . . . . „Tego wieczora, pierwszykroć przywdział on maskę; wybrał sobie ubior templaryusza; jego postawa, oraz natura jego uczuć stroju mu komicznego zakazywały, nie zawierałoż w sobie coś uroczystego przybranie takiej barwy, rodzaju całuna zgasłego i zamordowanego zakonu?

„Udał się więc na widzenie się ze swoim przyjacielem *Roquairol'em*, sercem swej piersi. Badał nanowo tych wszystkich, którzy mogli oświecić go względem zakrętów drożyn pogrzebowego zwierzyńca, w którym *Roquairol* powinien był się po balu znajdować. O dziesiątej godzinie poszedł na redutę, a myśli o miłości, przyjaźni, przyszłém życiu za nim w ląż postępowały... Jakże bicia jego serca były przyśpieszone!...

Wchodzi nakoniec, po raz piérwszy na ten świat marionetek, który uczlą mianują. Mniema, że się w mocarstwie śmierci bal o-

tworzył. Te postaci czarne, te larwy podziurawione, przez których otwory, jakby karbunkuły oczy migają, to pomięszanie i ta parodja wszystkich stopni towarzystwa, ten zgiełk, te kręcące się wichry taneczników, jego samotność pod maską, w serce jego świat myśli szekspirowskich rzucają.... Zdaje mu się, że na wyspie zaczarowanej żyje w pośrzód genjuszów i przeobrazicieli.

Ach! pomyślał sobie, tu to, *Roquailor* mój przyjaciel nieznajomy chciał kres życiu swojemu położyć; tu to jest rusztowanie na którém, byt swój młodocianny, jak żałobną zasłonę chciał rozszarpać... I poglądał naokoło siebie, jak gdyby się spodziewając, że on znowu tę werterowską scenę powtórzy.

Żadna mu się maska nie nawinęła, pod którąby twarz znajomą zdołał odgadnąć. Ta mnoga rodzina postilionów, arlekinów, Turków, pajaców, nie mogła sentymentów ideału, jego przyjaciela ukrywać. Przebiegł w milczeniu samotném wszystkie kadrile, gdzie angleza tańcowano, a więcej dziesięciorga oczu kobiét wlepionych w kitę jego szyszaka,

starało się przeniknąć powłokę woskowaną która oblicza jego rysy zakrywała.

Nakoniec, jedno się *domino*, wielkiémi i ociążałémi krokami, ku niemu przybliżyło: postawa jego do kobiéty, chod zaś do mężczyzny należeć się zdawały. To jestestwo dwuznaczne ujęło rękę *Cesary*, jak gdyby do tańca wzywając. *Cesara* nie tańcował, mozgownicóm pustym uciechę tę zostawując. Kłopotliwém nader dla niego to było; jakże mógł odtrącić od siebie napaść tak poufałą? nie godziło mu się grubijaninem względem kobiety okazać; albowiem chociaż był wyniosły, nie brakło mu atoli grzeczności. Pycha, bardzo się dobrze z uprzejmością jednoczy, jak damasceńskie miecze, po zahartowaniu ich w olejku różowym, roskoszną wonność zachowują. Ale mniemana ta dama nachyliła mu się do ucha i pocichu doń rzekła:

„Jestem wielkim szatnym mistrzem, najwyższym etykiety naczelnikiem, najwyższym prawodawcą ubiorów, Panem *de Falterley*, tak u dworu wsławionym.

— Ach! pojmuję, odezwał się *Cesara*, jesteś czémsiś pośrzedniém pomiędzy dwiema płciami. A gdzież jest *Roquairol*? jaki ma na sobie ubiór?

— Nie przybył jeszcze, odpowiedział wielki szatny: *Albano* się oddalił, od najwyższego etykiety naczelnika, najwyższego prawodawcy ubiorów.

Wszyscy, do razu, Albana poznali, który nie poznał nikogo. Tak się dzieje zawsze na świecie, gdzie człowiek prostoduszny, noszący swoję szczerość wpośrzód masek ludzkich, tyle niepowodzeń znajduje.

Ale owoż pomiędzy nowymi przybyszami opasła osoba, osobliwszej postawy, z przodu i z tyłu wypukła; dwa bufety zajmują te dwie wypukłości: bufet męzki napełniają cukierki złote, pastylki srebrne i soczyste salcessoniki; bufet niewieści opatrzony jest galaretami, bijankami, pierniczkami, które on zręcznie jednym i drugim podnosi: lekkie pochlebstwo dla jednych, dla drugich gruntowna przynęta. Wystąpiło potém towarzystwo złożone z kart do grania, które

w balecie wcześnie przygotowanym, przekartowały się, zdjęły się, i grę wykonywały, jakby prawdziwe karty. Zajmowano się z bardzo wielkim interesem, otaczając zewsząd, tą partyą żywej pikiety, kiedy wszedł, bez maski książęcy ulubieniec, tylko dominem okryty: a co bardzo nabawiło zdumienia szczerego *Cezarę*, stał się on wkrótce gwiazdą polarną taneczników i wirem kartezyuszowym, który ich wszystkich jednostajnym pędem pociągnął za sobą.

Potém wszedł kulawy, niosąc przed sobą wielką szklaną skrzynię, która się na pozytywie opierała. Nie trudno było poznać bibliotekarza Schopp'a, tego nowoczesnego Rabelesa, który żartował sobie z całego świata. Czy to, że nie mógł on już dla siebie znaleźć domina, czy też przez jakąś fantazją dziwaczną, udał się po strój dla siebie nie do dworskiego szatnego, lecz do pogrzebowego. Wielka płachta materyi czarnej okrywała jego, sięgająca od ramion aż po golenie, do której on poprzyczepiał wszelkiego, maski, rodzaju, z tém godłem: *Wszy-*

stko jest maskaradą. Usłyszał muzykę anglezową, której nóta była taż sama, jaka się na jego cylindrze znajdowała; jął więc go kręcić natychmiast; i co to było za podziwienie powszechne, kiedy ujrzano w skrzyni szklanej małe maseczki tańcujące w takt z wielkiémi! Gra tych marionetek była przewyborna; każda z osób znajomych, znajdujących się na reducie, miała swojego Sozyę w minjaturze; widziano tam filozofków maleńkich zawiązujących zgrabnie chusteczki, maleńkich głuchów potrząsających dzwonkami, dziécię już wyrostek, chwiejące kołyską drobniuchnej kukiełki; małe książątko odbierające malutkie hołdziki, od marjonetek maleńkich dworzan; maleńkiego wielkiego-mistrza szatnego, który się przeglądał w drobném źwierciadełku; malutkie eleganteczki, które się zalecały, tudzież drobne poeciki, ofiarujące swoje rękopisemka. Każda osoba, znajdująca się na uczcie, przychodziła osobiście przypatrywać się i dziwić się razem przedstawieniu samejże siebie, i własnemu wizerunkowi; a rzeczywiście nic

nie było pocieszniejszego, nad oglądanie tu na posadzce balowej miotających się wielkich tancerzy; tam, w szufladce szklanej przedrzyżniacza, tychże samych tancerzy, zmniejszonych do półtora-calowego wzrostu, śmieszności ich i charakterystyki zachowujących.

Trefniś *Schopp'e* nie przestał na tém: w chwili, kiedy się kadrill rozpraszał, przyszło mu do głowy zdjąć swoję piérwszą maskę; ale pod tą piérwszą druga się znajdowała, pod drugą trzecia; nakoniec aż po zdjęciu piątéj rysy naturalnego swojego oblicza ukazał, które wszelakoż przykryte były cieńkim listkiem złotym, co im szatański wyraz nadawało. Jak gdyby chciał odezwać się do ludzi zgromadzonych na redutę: „Wszystkie uczucia, z jakiémi się popisujecie, wszystkie zaszczyty, po które sięgacie, są to maski, wewnątrz zaś, nic się prócz interesu i miłości złota nie zawiéra.“

Tym czasem każdy poznawał *Cesarę*, każdy omijając się z nim, jego miano wybęknął. On zaś za każdym razem, *tak*, ma-

chinalnie odpowiadał. Naokoło niego tysiące się intryg zawiązywało, krzyżowało się, splatało się z sobą, otaczając go tym rozlicznym dramatem. Wszędzie się on podobnie jak pod zasłoną teatralną znajdował. Utrudziły go te ciemności; na przyrodzeniu mu zbywało. Zbliżył się do jednego z okien otwartych, ażeby zobaczyć, azali księżyc oświeci rychło horyzont, dla ułatwienia mu przechadzki nocnej, która go do zejścia się z Roquairol'em doprowadzić miała. Gmach reduty stał przy targowym placu. Rydwan ociężały, prowadzący na miejsce ostatniego pomieszkania, jednego ze znakomitych obywateli grodu, wśrzód ulicy pałających pochodni, przesunął się tym rynkiem. Straż nocna ciągle godzinę, jaka wybije, zwiastowała.

Co za widok! śmierć, na wszystkie uciechy żywota, tchnienie swe zionąca, zimę tylko tam zostawując, gdzie wiosnę znalazła!

Wtenczas *Schopp'e* śmieszek do Albana się przybliżył. Albano ukazał mu ciągnący się kondukt, a Schopp'e mu odpowiedział:

„Dobrze to! bardzo dobrze przyjacielu, śmierć stoi na swoim rydwanie, i spogląda w naszę stronę, jak gdyby chciała nam powiedzieć: „Wybornie! bawcie się, tańcujcie, ja mam wóz do powrotu i nazad jadąc was pozabieram!...“

Jakże się serce jego srodze ścisnęło! Jak jego maska zdawała mu się uciążliwą! Jak te płonne uciechy w smutnej mu się postaci wystawiły!.....

Takim jest bal osobliwszy, przez imaginacyą Jana-Pawła wynaleziony, kończący się rysem pogrzebowego pęzla. *Cesara* spotyka się nakoniec z *Requairol'em*, którego pragnie przyjacielem serca swojego uczynić. *Requairol* otacza się urokiem teatralnym, który głęboko imaginacyą Albana uderza. Przejdźmy do dnia następnego tej sceny: tam się to znajdzie rozwinienie tych obu charakterów *Albana de Cesara* i *Roquairola.*

. . . .

„Ach! powiada Jan-Paweł, gdyby to, naszej wrzącej młodości lata czystość dni naszych dziecinnych zachowywały, ku mło-

dościbyśmy raczej, nie zaś ku dziecinnemu wiekowi, myśl naszę i nasze wejrzenia odnosili! Młodość! dzień świąteczny żywota!.... posiada ona ulice posypane kwieciem.... i piękne pozłacane obicia... I domy promieniami słonecznémi jaśniejące.... Ma ona za bóztwa, (maleńkie bóstwa, lube i szczere) sztukę i cnotę, które nas wieńcami swojémi oplatają. W poźniejszym już czasie nastają bożyszcza surowe, które rozkazują, ale nie pieszczą bynajmniej. W młodości kościół, który wznosimy przyjaźni, jest świątynią z alabastrowémi kolumnami, pięknym przybytkiem greckim; poźniej mamy tylko dla niej ubogą kapliczkę gotycką, ciasną i ciemną."

Dusza *Albana de Cesara* była jeszcze morzem czystém, lśniącém się przy blasku promieni słonecznych, usianém zieleniącémi się wyspami, i obrazy cnoty z przyjaźnią odbijającém. Wierzył on w swojego przyjaciela nowego, i kiedy nazajutrz po balu, znalazł tę głowę ulubioną, jedyny skarb stamtąd wyniesiony, ileż to doświadczył cierpie-

nia! Głowa ta była zimna i łysa; rzekł zatém sam w sobie: „Owoż ten człowiek, który przed zaczęciem życia chciał umiérać! Cisnął się już w łono nicestwa, stanął nad brzegiem swojej otwartej mogiły, i nad nią samotny jeszcze oddycha! Ja mu podam rękę, ja go do bytu i do szczęśliwości doprowadzę!

„Człowiek, który jeszcze żyje, pokusiwszy się o zadanie sobie śmierci, jest rzeczą straszliwą; jest to człowiek, który z wysiloną gwałtownością podwoje tego świata wywalił, na którym go nic już więcej nie zatrzymywało. Wszelkie współ-czucie pomiędzy nim a nami wygasło. Jest to widmo; sztuczném się on życiem utrzymuje. Gość nieznajomy, po co się on pomiędzy nami uwija? Co on tu robić przybywa? Lękamy się co chwila, żeby nam się nie wymknął i polegać na nim nie możemy.“ Tak sobie myślał Albano, który przeznaczenie Roquairol'a opłakiwał, wraz z jego niespokojnością i jego krzątaniem się, widząc w nim niepewnego wędrownika, to rozwią-

zującego swoje tłómoki, to znowu je ku odjazdowi pakującego.

W porannej dobie udał się on na odwiedzenie Roquairola. Owoż jakie było pomieszkanie tego młodzieńca: Namiot oficera, loża aktora, przedpokoj ministra! Coś tam dworskiego, coś teatralnego, i coś wojskowego się znajdowało. Stolik, prawdziwe pobojowisko, mieścił na sobie ludność ksiąg, zbrudzonych i poszarpanych; wybladła maska leżała na tragedyach Schillera, pistolet na kalendarzu dworskim; rękojeść szpady potrącała pachnące mydełko, słoik pomady opiérał się na mokrej chustce, tabliczka czokolady na lichtarzu bez świecy leżała. Wszystkie drobne próżnostki drobnego życia miały swoje godła. Na kominie klapsydra nie była przewrócona i piasek z niej się nie wysypywał.... Dwa kapelusze z piórami na dwóch rogach jelenich zawieszone były.... Bilety i karty wizytowe, jak motylki poprzyszpilano do firanek.... *Cesara* prostoduszny młodzieniec dziwił się temu wszystkiemu. „Co za życie napełnione! co

za giętkość duszy! jakże Roquairol jest wielki, jak tkliwy, jak zazdrości godny!“

Niestety! bożyszcze przyjaźni wybrane przez Albana nie było tém, czém się bydź wydawało! Przyjaźń podobnie jak miłość ma swoje błędy.

Serce Albana pełne było tkliwości niewieściej oraz męzkiego zapału; i kiedy się to serce dziewicze, do serca zwiędłego Roquairola zbliżyło, kiedy ta świętość czysta młodości pełnej uniesień zetknęła się z oschłością tego, przedczasowego i obłudnego, dojrzenia, kiedy te oczy zacnémi łzami napełnione zatrzymały się na tych oczach trupich i zgasłych, na tém już pełném zmarszczek obliczu Roquairola; tego ostatniego sromota opanowała, uczuł swą niższość i czczość swoję, miał nagabanie powiedzieć swojemu przyjacielowi: „Posłuchaj Albano, jam ciebie niegodzien!“

— Ale poźniej pomyślił sobie: „*Utraciłbym go takim sposobem. Mężczyźni mają w sobie prawowierność moralną, surowość pewną sądu na której kobiétom zbywa: te*

można skłonić namową, a ich czułość błędy nasze przewyższa. Nie chcę utracić Albana, ten albowiem człowiek mię uszlachetnia."

Wysłuchaj go dobry aniele! Była to myśl bardzo zacna!

Roquairol nadto fałszywy sentymentalista, dziecię teraźniejszego wieku padł ofiarą jego.

Za naszych czasów tak się prędko zużywają uczucia, tak prędko więdną skłonności przychylne. Znajduje się tyle romansów, tyle teatrów, tyle namiętności sztucznych, tyle sztucznych roskoszy! We dwudziestym roku już czułość tępieje. Nasza szlachetna młodzież podobna jest do mieszkańców tych wysp oddalonych, których atmosfera obciążona jest aromatami tak przenikającémi i pełnémi ognia, że już więcej przyjemności tej woni czuć nie mogą; nerwy się ich wycieńczają, gaśnie uczucie zapachu, a podniebienie się kaleczy! Dla nich listki róży na nic się więcej nie przydadzą, chyba tylko może dla nadziania niémi materaców, jak to

niegdyś u starożytnych Sybaritów bywało. Kąpią ich w romansie, kołyszą w namiętnościach teatralnych. Upojeni całym tym nektarem, jakimże sposobem czuć życie zdołają? Potrzeba im cierni. Zaliż całego miodu żądz i umiejętności nie wykosztowali? Zaliż nie są nasyceni aż do wstrętu? Podaj im piwa, potém wina, dalej alkoholu! To nie dosyć jeszcze; sam płomień będą połykali. Biédne jestestwa, u których wszystko, to cokolwiek stanowi szczęśliwość człowieka, rozwinionem nie zostało i którzy dwa tylko piérwiastki pożogi zatrzymują, *umieć* i *używać!* Ich życie, życie *Roquairol'a*, tudzież tysiąca innych, jest żywicy płonącej deską na której nie można położyć stopy nie wyniosłszy stamtąd płomienia: imaginacya, nauka, wszystko się do rozdmuchania pożaru przyczynia, a pożar płonie straszliwy gwałtownością i swą własną podsytę pożera. Dla tych *pogorzelców życia*, nic nie masz rzetelnego, nic fałszywego, nic czystego, nic zupełnego; ani nowych roskoszy, ani nowych prawd, ani roskoszy dawnych, ani też prawd dawnych.

Nic, nic, oprócz przeszłości złożonej z pychy, ze sprzeciwieństwa, ze wstrętu, z nudoty, z wyniszczenia i ze zgrzybiałości. Szczęśliwi jeszcze, jeżeli dla nich nieco imaginacyi pozostało, jeżeli ta, jednym rzutem oka, chce jeszcze podnieść całun tego trupa, którego oni bytem swoim nazywają.

Owoż *Roquairol.*

Biédny młodzieńcze tyś nie tylko wybrał z góry należny sobie kapitał pomysłów, wybrałeś uczucia; twoja przyszłość jest opustoszała. Roztrwoniłeś swoje dziedzictwo piérwej nimeś wszedł w jego posiadanie; osuszyłeś zawczasu rozległe smugi przyrodzenia, które już ani kwiatów, ani owoców dla ciebie nie wydają. Będzież na nich oglądał odtąd same tylko dekoracye teatralne i lada jakich romansów przedmioty. Kochałbyś szczerze, głęboko, a poznałeś samę tylko miłość sceniczną. Serce to nazbyt wcześnie osuszone przez zatrute czytania, przez cywilizacyą fałszywą, stało się sercem papiérowém, sercem fałszywém, urywkami poetów i przysadą melancholiczną napełnioném. Uczucia

święte duszy, są dla ciebie tylko cackami i bawidełkami, jak berło i korona teatralnych monarchów. Z nudów roztargnienia potrzebowałeś; tu awantury gorszące, tam łzy kłamliwe, dalej brudna rozpusta, uczyniłeś rozłożenie twojego żywota, jak poeta swego dramatu, na wrażenia i sprzeczności. Znalazłyby się w tobie skarby szlachetnych myśli, w tobie potężna energja: aleś postąpił jak mieszkańcy Surinamu; wieprze ananasami tuczyłeś!

Biada! biada duszy tej niewiasty, która się da uwieść tym uczuć i namiętności pozoróm! biada tej która wpadnie w te zdradliwe wniki na połowie drogi do nieba zastawione! Ale szczęśliwa ta, która je potarga i wyniesie z nich swoje pozłacane skrzydła, skrzydła pszczołki nieco tylko zbrukane. Niestety! im się to należy imaginacya rącza i zwinna, skarb kochania, w giętkości energja; i dla tego to właśnie te kłamstwa tkliwe je zobowiązują; po cóż ta sieć otacza każdą duszę niewiasty mnóstwem nitek, z których się już ona nie może wywikłać, jeżeli

piérwszych; które naokoło niej usnuto, nie potargała.

Nie mogęż was o lube dziewice przeciwko temu nieszczęściu obronić? Niebo naszego świata i dni naszych pełne jest tych fałszywych orłów, które wam grożą, które was chwytają w swoje żarzyste szpony. Oni was nie kochają, lecz tylko się im tak zdaje. Władza miłości jest im odjęta. Jak wybrani, w raju Mahometa, mają oni skrzydła, lecz rąk są pozbawieni: skrzydła imaginacyi śmiałej, które was unoszą, do nich należą, ale rąk bożka miłości, któremi uściska swą rodzicielkę, im nie dostaje.

Alboż nie widzicie także, iż ten pozorny zapał jest kłamstwem? Podobnie wielkie rzeki ciepłe są około brzegów a w gruncie zimne.

Czasami entuzyasta, niekiedy rozpustnik w miłości Roquairol się pomiędzy eterem a błotem unosił, nakoniec potém oboje to z sobą pomieszał. Pozostała mu tylko na ostatek fałszywa poezya; drzewo mające jeszcze świetne kwiaty, ale którego korzenie

spróchniały w ziemi. Częstokroć nurzał on się w rozwiozłości i błocie, ażeby swą skruchę uczynić żarliwszą i szczęśliwość z cnoty żywiej poczuwać.

Taki był stan jego duszy, kiedy się ta spotkała z duszą Albana. Szukający kochania z zapamiętałością, lecz tylko dla strojenia sobie igraszki z niego; posiadający serce fałszywe, którego uczucia były tylko *poezyą wiérsza*, nie zaś poezyą życia.... niezdatny zostać prawdziwym ani też kłamcą, albowiem każda się prawda zamieniała u niego w omamienie, każde zaś omamienie w prawdę; darujący i poświęcający z największą łatwością wszystko to, cokolwiek tylko ludzie cenią, albowiem on nie cenił niczego.... pełen myśli grobowych, albowiem on sam barw i uroku życie swe pozbawił; rospaczający o wszystkiém, chwiejący się nawet w swoich błędach; był znużony, nieruchomy pośrzód zgiełku namiętności, widząc i znając je wszystkie, wylewając się na zbytki bez roskoszy, udając wszystkie uczucia, niezdolny sam ich doznawać.

Pewnego wieczora, kiedy Albano swojego przyjaciela odwiedził, lokaj galonowany przyniósł bilet do tego ostatniego, bilet na ładniuchnym delikatnym różowym papiérze.

„To bardzo dobrze; powiedział oddawcy. A kiedy lokaj drzwi już zamknął:

„Nic z tego nie będzie, mościa dobrodziko, mówił dalej obracając się do Albana. Bracie, wystrzegaj się ty mężatek. Pozwól tylko raz jeden sobie się uwikłać do jednego z ich sideł, a ręczę nie wyjdziesz bez szwanku. One ci utopią w sercu swoje pociski tak ostre. Ja, mówił dalej poprawując włosów, mam ich do siedmiu, które mię nędznie zahaczyły."

— „Ach! zawołał Cesara, z podziwieniem, co za chwała, co za honor! Zniewolić siedm za jedną razą mężatek!"

Biédne niewiniątko, który nie wiedział jeszcze, ani ile ta próżność nędzy za sobą prowadzi, ani na ile występnych czynności rzemiosło podobne naraża! Powtarzał tylko w sobie: „Siedm mężatek!"

Nic tak nie masz pięknego w dniu pogodnym jak zachód słońca. Hrabia zaproponował przechadzkę na górę. Obaj przyjaciele przebywali ulice, wśrzód których Karol co chwila się zatrzymywał, to dla powitania pięknego nosika, to dwojga pięknych czarnych oczu, znowu falistego warkocza. Pośpieszali z przybyciem do ulicy lipowej, którą podwójny szpaler przechodzących się przyozdabiał; ci w paradnych ubiorach siedzieli. Wśrzód tego parteru kwiatów niewieścich, kąpiących się w potoku purpurowym zachodzącego słońca, przechadzali się sobie przez czas niejaki.

Cesara cieszył się wszystkiém, był on uszczęśliwiony. Kwiat, kamień, ostatnie pożegnanie gwiazdy dziennej, do jego duszy przemawiały. Nie był on dłużnikiem przeszłości, lecz gościem obecnego czasu. Roquairol przeciwnie, widział w czasie obecnym wierzyciela łakomego i straszliwego, który się odeń domagał rachunku, z jego na borg nabranych roskoszy i z rzeczywistej czczości jego duszy.

„Pójdźmy stąd rzecze, pójdźmy, przepędźmy noc w gronie *Ratto* włoskiego. Tam przecie piją i grają.“

I Cesara udał się za nim.

. . . .

Zstąpili do piwnicy włoskiej w *Ratto*. Kapitan Roquairol kazał dadź sobie palącego się pączu. Jeżeli w całym ciągu mojego dzieła kapitan tak nieumiarkowanie pije gorące napoje; nie można będzie zwrócić do mnie tego samego zarzutu, jaki autorowi Grandissona uczyniono, i powiedzieć, że moi bohatyrowie straszliwymi są spożywaczami herbaty.

Podówczas, kiedy był zatrudniony piciem, oddano drugi bilecik różowy *Roquairol'owi*. Wnet zawiązał swój halsztuch, albowiem siedział z szyją nagą na wzór Hamleta z miną natchnioną i tragiczną.

„Powrócę, rzekł, natychmiast. Wstąpił na wschody i zniknął.

„Cóż tedy? zapytał *Cesara* u powracającego.

— Nudzę się odpowiedział kapitan sentymentalny; wychodźmy stąd.

Wyniśdź już od dawnego czasu było Albana chęcią. Wybiła piérwsza, kiedy się znaleźli na ulicy. Jakże świeże powietrze nocne było pożądane dla spalonych ust Albana! Pełen słodkich myśli natchniętych przez piękne niebo, które ich okrywało, z żywém wdzięczności wzruszeniem ku Stworzycielowi zawołał:

„O mój Boże, jakże to miło żyć na świecie!...“

Karol się przytulił ku niemu. Ponuro nachmurzyło się jego czoło, jak skrzydło nocnego ptaka. „Tém lepiej dla ciebie, odpowiedział z goryczą, jeżeli się możesz pochlubić bytem! Ach! jeszcześ ty nie poznał życia: sfinx zasypia jeszcze w piersiach twoich. Posłuchaj; dowiedz się kto jest tym sfinxem, jest to potwora z nadobném obliczem czystej dziewicy, która się podnosi na swoich cztérech łapach w sercu ludzkiém; która uśmiécha się przez czas długi; i człowiek z nią się uśmiécha. Potém się znagła miota, zatapia w piersi swoje ostre szpony, rozbija ją swoim lwim ogonem, a ucieszona

z potoków krwawych, którémi się otoczyła, rozciąga się roskosznie i zaczyna się znowu ze swą dziewiczą twarzą uśmiéchać. O ileż ów ucierpiał, który mi ten obraz odmalował! Potwora poszarpała go zewsząd, a nienasycona zawsze lizać serce jego zaczęła....

—Malowidło to jest straszliwe, rzekł Albano, ale ja nie pojmuję...."

Księżyc się podniósł wtenczas, i gęste nawalne chmury go zasłoniły, potém wiatr je uniósł, potém nastąpiły inne.

Karol mówił dalej:

„Sfinxem jest roskosz, jest to potrzeba czucia bytności przez używanie uciech; a człowiek, który swoje serce zakrwawione ogląda, który go się zapytuje, który go zgłębia, i jego liże, jest to egoista uczuć i wzruszeń; nieszczęśliwy, który szukając wszędzie pobudzeń, odbiéra zewsząd rany. Czy pojmujesz dopiéro sfinxa? Czy widzisz, ile to potrzeba cierpieć?...

„Tam, w głębi naszej duszy, potwora śmieje się i szarpie bez przestanku, potém się śmieje znowu; a ponieważ przejścia od

boleści do uciechy, od złego do dobrego, dają się bardziej ode dnia do dnia uczuwać,.... ponieważ bluźnierstwa i plugawe obrazy mięszają się do modlitw człowieka,.... ponieważ serce jego nie może ani odpokutować, ani zatwardnieć zupełnie, nieszczęśliwy pozostaje na miejscu, tarzając się we krwi własnej, wala się po wielkim życia gościńcu; zasypia pozbawiony wzruszeń, władz, nienawiści, przywiązania; mara człowieka, złożona z kłamstwa... i taki ciągle umiéra.... Ale dla czegoż płaczesz? Alboż ty znasz tego nędznika?

— Nie, odpowiedział Albano ze słodyczą.

— Dowiedz sięż tedy, ja nim jestem....

— Ty? o nie, to niepodobna!

— Tak jest, to mój własny obraz; i gdybyś nawet mną pogardził, będziesz wiedział o tém.... Nie, istoto najczystsza, nie mogę, nie chcę ci tego powiadać.... Czy widzisz, sfinx się już we mnie obudził; bierze mię chętka do kłamstwa, chcę ciebie oszukiwać, chcę przywdziać moję maskę Oh! módl się wraz ze mną, dopomóż mi,

ażebym nie był przymuszony kłamać bez końca. Potrzeba więc, ażebym podpalał moje życie, pożerał moje serce, zwodził kobiéty, upijał się, był obłudnikiem! Patrzaj tylko, w tej samej chwili jestem nim względem ciebie."

Cesara przypatrywał się temu, bez życia, oku, tym policzkóm wybladłym jak trupia opona, tym rysom twarzy podługowatym; a gniewając się, przez siłę przychylności, rzekł do niego: „Nie, przez potęgę Wszech-Mocnego, to nie jest prawda.... Ty, taki łagodny, taki wybladły, taki nieszczęśliwy, taki niewinny!"..

— Przyjacielu! rzekł do niego Karol, moja ku tobie przyjaźń bierze górę nad wszystkiém; wszystkie uczucia, które ja okazuję, nie są we mnie zgoła; ja w nic, oprócz nudów, nie wierzę; moje zmysły, które ja łechcę, uciemiężają mię i same niszczeją. Szczęśliwy, szczęśliwy *Albano*, ty jeszcze masz jakieś uczucia!...

Albano opuścił jego rękę, i otarł łzy bujne swych oczu, i spoglądał na czerniące

się w dali gęste drzewa tego źwierzyńca, w którym piérwszykroć znalazł przyjaciela, przyjaciela niestety! którego ubiór ostatni balowy, po jednej sztuce, w jego oczach, opadał.

W tej chwili natarcie wichru wywróciło sosnę, stoczoną przez robactwo, a Karol, wskazując ją, zawołał: Patrzaj Albano, czy widzisz? to ja jestem?

— Karolu, Karolu! postradałem więc ciebie!"

(*Revue de Paris. Ph. Chasles.*)

ROZMAITOŚCI.

WZMIANKA O ZAWODZIE NAUKOWYM I PRACACH UCZONYCH LUDWIKA SOBOLEWSKIEGO.

Nim, przy ogłoszeniu drukiem dzieł uczonych Ludwika Sobolewskiego, udzieli się światu godna nieporównanych zdolności jego i usposobień rzadkich, o tym prawdziwie niepospolitym człowieku, dokładna wiadomość, przestaniémy tymczasem na przelotném przebieżeniu zawodu naukowego, który odprawił, tudzież wymienieniu mnogich prac jego na korzyść nauk dokonanych.

Ludwik Sobolewski urodził się roku 1791 w Wilnie, z rodziców szlacheckiego stanu. Ojciec jego piérwszą swą młodość za-

raz służbie skarbowej poświęcił i w niej uczciwego życia dokonał. Umieli troskliwi rodzice korzystać ze sposobności, jaka im się nastręczyła do dania staranney edukacyi swojemu synowi; jakoż, od piérwszego zaraz dzieciństwa otoczony był biegłymi nauczycielami, na których nigdy w mieście tutejszém nie zbywa. Posłany potém do gimnazyum, zdolnościami, przykładaniem się i postępami w naukach równie przewyższał wszystkich współ-uczniów, jak nauczycielów swoich zdumiewał.

Po ukończeniu zaś nauk gymnazyalnych, przyjęty został do Instytutu Pedagogicznego przy b. CESARSKIM Uniwersytecie Wileńskim, w dniu 11 Października, 1808 roku; gdzie w trzechletnim przeciągu czasu wysłuchał kursów: Matematyki Elementarnej i Algebry, Chemii, Fizyki, Botaniki, Zoologii, Mineralogii, Literatury Rossyjskiej: szczególniejszym zaś przedmiotem przykładania się jego była Literatura Grecka i Łacińska, w której górowanie zjednało mu rodzicielską prawie przychylność professora Grodka i czynną tego męża opiekę; a tej następnie, pomimo liczne przeszkody, winien był otworzenie dla siebie świetnego w naukach zawodu. Przykładał się prócz tego do Teoryi Sztuk Pięknych, Prawa Cywilnego, Kryminalnego i t. d. Postępy okazane w wymienionych naukach, zjednały mu stopień Magistra Filozofii, przyznany urzędownie d. 17 Maja 1811 r. Sposobiony od

dziecińslwa do języków, tyle w nich miał biegłości, że francuzkim i niemieckim tłumaczył się i pisał tak prawie, jak gdyby się w tych krajach wychował. Posiadał także w wysokim udoskonalenia stopniu mowę angielską i włoską, zdolny po hiszpańsku i portugalsku rozumieć.

Tak wczesne rozwinięcie się władz pojętności i pamięci, namiętne przykładanie się do nauk, niemniej gorąca chęć celowania nad wszystkimi, sprawiły, że w końcu roku szkolnego 1811 przed examinami do nadgród, doświadczył piérwszych napastowań choroby nerwowej, która, w poźniejszych latach odnawiając się coraz natarczywiej, stała się przyczyną jego nieodżałowanej, w wieku najdojrzalszych nadziei, śmierci.

Naznaczony Nauczycielem Literatury Łacińskiej i Greckiej do Gymnazyum Wileńskiego, w którém przed kilką lat był uczniem, prosił zaraz swojej Zwierzchności, aby go przemieszczono do Kowna, gdzie się jego rodzina od lat kilku była przeniosła. Co otrzymawszy, sprawował tam obowiązki nauczyciela Grammatyki łacińskiej i polskiej. Po śmierci ojca swojego żądał przemiany miejsca i otrzymał ją dostając płac Nauczyciela Literatury Łacińskiej i Greckiej w Gymnazyum Białostockiém. W témże Gymnazyum zastępował przez lat kilka Nauczyciela języka francuzkiego, z wielkim uczniów pożytkiem.

Uniwersytet Wileński troskliwy, ażeby

w nim katedry osierocone po ubywających professorach godnie zapełnione bydź mogły, wyprawił w 1817 roku na sposobienie się za granicę kilka wybranych osób; a w ich liczbie wysłano Sobolewskiego, jako mającego z czasem zająć katedrę Literatury starożytnej. Nie będziemy tu wchodzili w szczegóły pobytu Sobolewskiego w Niemczech i Francyi; znajdzie je czytelnik we własnych jego pisanych do swojej Zwierzchności raportach (*).

Za powrotem do kraju, Sobolewski zostawszy przeznaczonym do wykładania w Uniwersytecie autorów łacińskich, oprócz wydania dzieł niektórych pisarzy, jako textu do ich publicznego wyjaśniania, ogłosił jeszcze mnóztwo artykułów, w przedmiocie literatury i bibliografii polskiej, drukowanych w *Dzienniku Wileńskim* w ciągu lat: 1819, 1820, 1821 i 1822. Okoliczność ta sprawiła, iż posiadacz zamożnej w dzieła rzadkie polskie biblioteki, gorliwy mąż o chwałę i wzrost nauk, Adam Hrabia Chreptowicz, zaprosił Sobolewskiego do *Szczors*, majętności swojej, aby w czasie wakacyjnym przejrzał jego bibliotekę, i swoje materjały wiadomościami obfitszémi względem opuszczonych w Bentkowskim autorów polskich wzbogacił. Plon w bibljotece Szczorsow-

---

(*) Czytać na końcu tego artykułu przytoczone autentyczne świadectwa.

skiej zebrany, nad spodziewanie Sobolewskiego znalazłszy się bogatym, inny zupełnie kierunek zamysłom jego, w tym rodzaju pracy nadał. Zamiast więc cząstkowego ogłaszania dorywczych uwag, nad dziełem P. Bentkowskiego, postanowił on dalej, własne swoje śledzenia posuwać, a zlewając w jednę całość to wszystko, cokolwiek z pism krajowych i obcych do jego celu przydadźby się mogło, umyślił, z czasem, na wzór *Bibljoteki Greckiej Fabrycyusza*, wydadź *Powszechną Bibljotekę Polską*; prosił zatém ówczesnego Kuratora Wileńskiego Uniwersytetu, ażeby mu pozwolił zwiedzić i przejrzeć swoję bibljotekę, gdzie się więcej jeszcze materjałów zdatnych do przedsięwziętego dzieła znaleźć spodziewał. Co otrzymawszy, wysłany został przez Uniwersytet do *Puław*, i tam, w bibljotece, przez trzy miesiące, pracował, nad gromadzeniem do Bibljografii Polskiej materjałów. Wzgląd na jego niezmordowane a korzystne prace, skłonił Uniwersytet do zaszczycenia go stopniem Adjunkta, przyznanym mu w 1821 roku Lutego 16 d.

Dla prowadzenia dalej pracy nad Bibljografiją Polską, wysłano go powtórnie do bibljoteki Puławskiej, z poleceniem, ażeby w tymże celu zwiedził bibljoteki: Krakowską, Hrabi Ossolińskiego w Wiédniu i Publiczną CESARSKĄ w Petersburgu. Ile się Sobolewski zalecić potrafił swą nauką i pracą Hrabiemu Ossolińskiemu, świad-

czy to list tego ostatniego do Xiążęcia Kuratora Uniwersytetu Wileńskiego pisany o nim, a w Pamiętniku Warszawskim wydrukowany: ile uczeni tuszyli sobie po jego pracach, świadczy korrespondencya z Sobolewskim Kanclerza Państwa, protektora wszystkich przedsięwzięć uczonych, Hrabiego Rumiańcowa (*).

Powrócił Sobolewski z Wiédnia do Wilna w 1825 r. dnia 18 kwietnia; i wnet 1 Maja mianowany został członkiem komitetu, do rewizyi biblioteki uniwersyteckiej ustanowionego, w którym najczynniej pracował. W dniu 15 Czerwca okazał na posiedzeniu literackiém Rady Uniwersytetu, zebrane przez siebie w Puławach i w Wiedniu bibliograficzne materyały składając o nich raport. Sprawiedliwość, jaką zawsze usposobieniom jego i pracy niezmordowanej powszechnie przyznawano, bez wahania się, oddawała mu jednę z katedr literatury starożytnej, wakujących po zgonie Professora Grodka: ale Sobolewski czując się osłabionym na zdrowiu i nie mogąc żadnej ciągłej pracy podejmować, przyjął tylko po mistrzu swoim miejsce Bibliotekarza Uniwersytetu, na które d. 6 Maja 1826 r. utwierdzony został.

Odtąd życie Sobolewskiego, między prace bibliotekarskie a literackie podzielone, obiecywało wielkie dla nauk plony; lecz zdro-

---

(*) Czytać na końcu, świadectwa.

wie jego, częstémi powrotami nerwowowej choroby podkopane, ciągle się chyliło do upadku. W tym wszelakoż słabiejącym coraz stanie, wypracował on kilka książek do użycia po szkołach, uzupełnił Słownik Poetów Polskich *Juszyńskiego* dodatkami trzecią przynajmniej część objętości jego stanowiącemi. Życzyćby należało, ażeby zbiór ten pożyteczny, tak albo i więcej jeszcze pomnożony, w ponowioném poprawniejszém i poczesniejszém powtórzył się wydaniu. Puściłoby to zawsze w obieg większą ilość materyałów do *Historyi Literatury Polskiej*, której Sobolewski tak wielką czuł potrzebę, pojmując oraz trudności ciężkie jeszcze do zwalczenia, z dokonaniem podobnego dzieła połączone, których uprzątnąć całkowicie nie mając zamysłu, chciał się tylko do zwyciężenia ich, według swojej przemożności, przyczynić. „Postrzegłszy, powiada w jednym ze swoich listów, w dziele P. Bentkowskiego, któremu nie wiedzieć za co dał tytuł *Historyi Literatury Polskiej*, liczne uchybienia i niedostatki, zacząłem naprzód za granicą zbiérać wiadomości o dziełach przez niego opuszczonych, i byłem się zrazu ograniczył samémi dziełami Polaków, w języku łacińskim wydanémi. Zwiedzenie poźniej bibliotek, które niewyczerpanémi do dziejów literatury polskiej są kopalniami, rozszerzyło okrąg zamysłów moich. Postanowiłem pracować nad Powszechną Bibliografią Polską. Porwałem się wprawdzie, na dzieło

ogromne, wielkiej pracy, żmudnego szperania, i niepospolitej wymagające wytrwałości: nie mam wszelakoż tych zamiarów za niepodobne do uskutecznienia, jeżeli okoliczności niezależące ode mnie, moim nieźmiennym chęciom sprzyjać będą. Umyśliwszy tedy w cichości gromadzić materjały do przyszłej budowy, nie mogłem sobie lepiej poradzić jak starać się o poznanie najbogatszych posługujących do mojego przedsięwzięcia, co raz więcej zbiorów i t. d.“ Nagromadzone tym sposobem materjały kusił się S o b o l e w s k i, zachęcany przyjaciół namową kilkakrotnie, w pewny porządek ułożyć i do druku przysposobić: zamiar ten czynnie go dosyć zajmował w czasie letnim 1828 r. kiedy ucieszony Zadowoleniem Monarszém ogłoszoném przez Ukaz R z ą d z ą c e g o S e n a t u d. 19 Czerwca 1819 r. czuł się prawie zupełnie zdrowym. Ale były to już tylko migania się żywsze dogorywającej lampy. Zapadając bowiem coraz częściej, zgasł nakoniec w miesiącu Lipcu 1830 roku, w samej najzdatniejszej dobie wieku, bo nie mając spełna jeszcze lat czterdziestu.

Zamierzywszy sobie uczynić wzmiankę tylko o *Zawodzie naukowym i pracach uczonych* Ludwika S o b o l e w s k i e g o, nic tu o jego życiu prywatném, nic o stosunkach z ludźmi, które niemało na los jego wpływając, wieleby interesujących i ciekawych okoliczności wystawiły, nic o przymiotach towarzyskich nie wzmiankujemy, zostawując te

rzeczy do jego biografii obszerniejszej. Pozostaje nam tylko prace jego drukiem już ogłoszone wyliczyć, które w tej kolei, jak wychodziły spod prassy, wymieniamy:

1) Epithome historiae sacrae ze słownikiem, łacińsko-polskim. *Vilnae* 1809. in 12. Tożsamo powtórnie *Vilnae* 1821 in 8.

2) Eutropii, breviarium historiae romanae. *Albifonti* (w Białymstoku) 1817. in 4. Toż samo powtórnie *Vilnae* 1821 in 8.

3) Andryanka, komedya Terencyusza do użytku szkół przystosowana. W Wilnie 1820. 8.

4) M. A. Plauti Amphitruo. *Vilnae* 1821. 8.

5) Wiadomość o piśmie (*Professora Ciampi*) pod tytułem: *Feriae Varsavienses*, w Wilnie 1821 r. in 8.

6) Rozmaite artykuły w przedmiocie literatury i bibliografii polskiej, o których się namieniło wyżej, drukowane w Dzienniku Wileńskim w latach: 1819. 1820. 1821 i 1822.

7) Tu jest także miejsce wymienić, niedrukowaną wprawdzie, ale wykończoną przygotowaną do druku pracę Sobolewskiego. Uważając on nieodbitą potrzebę doskonalszej książki do nauki języka łacińskiego, ułożył był na wzór Chrestomatii sławnego Jakobsa nową Chrestomatią łacińską, czyli, tak nazwane, Wypisy na klassę I i II, dla Szkół powiatowych i Gymnazyj. Uniwersytet uznawszy takowe Wypisy za elementarne, przesłał je d. 23 Stycznia 1816

roku na utwierdzenie do P. Ministra S. D. i N. O. Rękopism ten nie wiedzieć jakim sposobem zaginąwszy, przyprawił drażliwego autora o tysiące umartwień: kopija albowiem jego była zatracona; przeto przyznanej sobie przez Uniwersytet nagrody nie mógł otrzymać.

8) Do prac Sobolewskiego także przygotowanych do druku i zatraconych, należy: *Wikary Wakfildzki* Goldszmida, romans tłumaczony z angielskiego.

9) Na skutek zalecenia Rektora Uniwersytetu pod d. 12 Sierpnia 1825 r. wydał Sobolewski:

a) Wypisy łacińskie na klassę trzecią Szkół powiatowych. Wilno 1826 r. in 8. 102. str.

b) Wypisy na Klassę II Szk. Pow. Wilno. 1826 r. in 8. 55 str.

c) Wypisy na Klassę III Szk. Pow. Wilno. 1827 r. in 8. 58 str.

d) Wypisy łacińskie zawierające w sobie główne rysy historyi starożytnej (wyjąwszy rzymską). Wilno 1827 r. in 8. 219 str.

Oprócz mnogich i obfitością swoją zdumiewających materjałów do Bibliografii Polskiej, oprócz pism drukiem ogłoszonych, któreśmy tu wymienili, oprócz wykładania po Szkołach i w Uniwersytecie lekcyj publicznych, przejrzał jeszcze Sobolewski i na piśmie ocenił kilkadziesiąt książek elementarnych bądź drukowanych bądź w rękopismach, przez zwierzchność mu poruczanych. Przy-

czyniał się do spisywania medalów i rozmaitych monet tak do Uniwersytetu jako też do byłego Liceum krzemienieckiego należących, w czém niepospolitą Numizmatyki znajomość okazał. Zasiadał w licznych komitetach z wielu różnych okoliczności wyznaczanych, w których pospolicie, trzymając pióro najczynniejszym bywał ich członkiem.

Zważywszy tedy gorliwe i namiętne sposobienie się do nauk młodzieńca Sobolewskiego, zważywszy prace jego nauczycielskie, wędrówki uczone odbyte za granicę, zwiedzanie bibliotek rozmaitych i wygrzebane w nich bogactwa, zważywszy pisma drukiem ogłoszone i prace dokonane ze zwierzchniczych poruczeń; któż nie przyzna, że krótkie życie jego pożytecznie było strawione. Gdyby mu dłuższe lata, przy lepszém posprzyjały zdrowiu, mielibyśmy może chlubę przydadź jedno z imion do sławy europejskiej.

ŚWIADECTWA.

Raporta Sobolewskiego *do Fakultetu Literatury i Sztuk pięknych w* Cesarskim *Uniwersytecie Wileńskim.*

(*Tłumaczenie z francuzkiego.*)

1) Stosownie do odebranej instrukcyi, rok piérwszy mojej wędrówki w Paryżu prze-

pędzić powinienem. Za przybyciem do tego miejsca mojego przeznaczenia, poczytuję sobie za obowiązek zdadź rachunek Prześwietnemu Fakultetowi Literatury i Sztuk pięknych, z odbytej podróży, oraz donieść mu o zatrudnieniach, którym się poświęciłem.

Wiedząc, że się kursa nauk w Paryżu otwierają około połowy Listopada, (V. S.) przedsięwziąłem odbydź moję podróż, z największą, jak tylko bydź może szybkością, ażebym jej celu, na ten rok nie uchybił. Przybywszy do Królewca 30 Września, udałem się natychmiast do PP. Professorów tamecznego Uniwersytetu, Vater'a i Lobeck'a wymienionych, w mojej instrukcyi, w których towarzystwie, biblioteki, uniwersytecką, miejską i królewską zwiedziłem. Opuściłem Królewiec 30 Października, a w dniu 18 tegoż miesiąca przybyłem do Berlina: listy zalecające Pana Professora Grodka do PP. Buttmann'a i Wolf'a zjednały mi uprzejme tych dwóch uczonych Professorów przyjęcie, z których pierwszy, jako bibliotekarz, ułatwił mi wstęp do biblioteki królewskiej, drugi mię, listami zalecającemi, do PP. Boissonade, Hase i Coray, zaszczycił. Pod czas mojego pobytu w Berlinie, odwiedzając najczęściej sławnych professorów wyżej wzmiankowanych, miałem zaszczyt poznać wielu innych uczonych tego miasta, szczególniej zaś PP. Boeckh'a i Hirt'a. Jeżeli przestawanie i rozmowa z ludźmi wyższymi w swoich

przedmiotach, na rzetelną drogę nauki naprowadzając, zachęca nas i ośmiela w obranym przez nas zawodzie, mogę sobie pochlebiać, żem niemało, z pobytu mojego w Berlinie skorzystał. Prócz tego, przeświadczony, że odbywając taką, jak moja wędrowkę, nie godziło mi się nic opuszczać co się tylko do rozszerzenia słabych moich wiadomości, tudzież do poznania kształcenia się umysłu ludzkiego przyczynić może, zwiedziłem tyle, ile mi czas pozwolił, muzeów gabinetów, i rozmaitych zakładów publicznych. Tego prawidła, we wszystkich miastach znakomitszych, przez którém tylko przejeżdżał, nie straciłem z uwagi. Opuściłem stolicę pruską 27 Października, a 30 stanąłem w Dreźnie: tam pośpieszyłem do obejrzenia i poznania najpiérwszego z gabinetów starożytności niemieckich. Widok tylu pomników sztuki dawnej podniecił we mnie żywszą jeszcze żądzę, poznania i zgłębienia tej części starożytności uczonej, do której się w Paryżu wyłącznie przykładać postanowiłem. Zwiedziłem bibliotekę królewską i galeryą obrazów najsławniejszą w Europie. W tém mieście zaznajomiłem się tylko z Professorem Boettiger'em uczonym antikwariuszem. Opuściłem Drezno 3 Listopada udając się do Frankfórtu nad Menem, w kierunku przez Lipsk, gdzie miałem korzyść poznania dwóch sławnych filologów, PP. Hermann'a i Beck'a. Przybyłem do Frankfortu w dniu 11 i tam się niezatrzymując, odbywałem mą podróż

aż do Paryża, gdzie się już od 20 Listopada znajduję. W tej stolicy, stosownie do mojej instrukcyi będę chodził na kursa Archeologii wykładane przez P. Millin łącząc z tém czytanie dzieł, tak tego uczonego Professora, jako też i drugich sławnych antikwariuszów. Muzeum królewskie, gabinet starożytności i medalów biblioteki królewskiej, posługiwać mi będą do zastosowania wiadomości, tak z kursów P. Millin'a jako też z rozmaitych dzieł wyczerpniętych. Żeby uskutecznić, ile to bydź może, instrukcye mnie polecone, będę podobnież chodził na kursa P. Hase, Professora tymczasowego w bibliotece królewskiej, mającego wykładać niektóre prawidła czytania rękopismów starożytnych, co dla mnie jest rzeczą zupełnie nową; a wprawiwszy się dostatecznie do ich decyfrowania i czytania, zamierzam sobie wybrać jednego z autorów greckich lub łacińskich, który stanie się przedmiotem wyłącznym badań moich w tej mierze. Choroba P. Hase nie dozwoliła mi dotychczas zaznajomić się z tym uczonym hellenistą, i dla tegom nic jeszcze dotychczas, w tej rzeczy niezdołał stanowczego przedsięwziąć. Żeby mi się pomyślniej w moich naukach wiodło czytam codziennie klassycznych autorów, uczęszczając na kursa czytania greckich pisarzy P. Gail'a w kollegium francuzkiém, tudzież P. Boissonade w Fakultecie literatury Uniwersytetu Paryzkiego. — Historya Tucydydesa, Rozmowy Platona, Pienia

Homera i Tragedye Eurypidesa naprzemiany mię zatrudniają.

(*Druga połowa tego raportu zawiéra w sobie kłopoty pieniężne i biédny stan w Paryżu uczonych wędrowników, bez opatrzenia przyzwoitego zostających. Opuszczamy więc ją, nie mając tu zamysłu wtrącać obcych do nauk przedmiotów. Data raportu jest:* $\frac{18}{30}$ *Grudnia 1817 r. Rue des Malusins St. Jacques N. 7.*

2) Choroba P. Hase konserwatora rękopismów greckich i łacińskich, w bibliotece królewskiej, bez którego pomocy nie mogłem pożytecznie zatrudnić się czytaniem i porównywaniem tychże rękopismów, nie dozwoliła mi donieść Prześwietnemu Fakultetowi, w piérwszym raporcie o moich, we względzie krytyki filologicznej, zatrudnieniach. Skoro ta przeszkoda, przez rychły powrót do zdrowia, tego uczonego męża uprzątnioną została, a kurs publiczny *Paleologii* przez niegoż dawany w bibliotece, tudzież prywatne rady, przestrogi i nauki, których mi łaskawie udzielić raczył, usposobiły mię należycie do czytania, różnego wieku rękopismów, zająłem się pracą jedną z najtrudniejszych w moim przedmiocie, to jest krytyką zastosowaną do textu obranego przeze mnie greckiego pisarza. O planie, celu i szczegółach tej pracy śpieszę donieść prześwietnemu Fakultetowi.

W wyborze autora, którego text z rę-

kopismami porównywać miałem, przyjąłem następujące zasady: *Naprzód*, wziąć autora greckiego, którego text, niedosyć jeszcze poprawny, oczekuje pomocy z porównania jego rękopismów: *Powtóre*, takiego autora któregoby obszerność odpowiadała czasowi jaki tej pracy poświęcić mogę: *Potrzecie*, któryby mi czynił nadzieję wynalezienia w rękopismach jakiej części lub ułomków dzieła drukiem dotąd przez nikogo nieogłoszonych. Szukając, podług tych zasad mojego autora, niepodobna było abym go mógł znaleźć pomiędzy pisarzami greckimi piérwszego lub drugiego rzędu; z których jedni, najsławniejszych krytyków zeszłego i teraźniejszego wieku wielokrotnie zatrudniali, drudzy wymagaliby nierównie dłuższego czasu nad ten, jaki mi na zwiedzenie bibliotek zagranicznych został przeznaczony; inni nakoniec nie czynili mi żadnej nadziei zbogacenia literatury starożytnej przez nowe odkrycia. Z tych powodów wypadało mi zstąpić do epoki literatury greckiej nie tak świetnej wprawdzie, lecz zamożnej w dzieła, około których niewiele dotąd pracowano. Z tej epoki *Listy Juliana*, pisane do współczesnych autorów i przyjaciół tego Cesarza, jakimi są Libanius Jamblichus, Porphyrius, Maximus Tyrius, Oribasius oraz inni, pokazały mi się, z wielu względów, dziełem godném krytycznego wydania. Lat przeszło sto dwadzieścia temu, jak Spanheim wydał wszystkie dzieła tego

autora; a gdy niektóre jego mowy a mianowicie dowcipna satyra pod tytułem *Caesares*, znalazły kilku uczonych wydawców i tłumaczów, o staranném zebraniu i wydaniu listów nikt dotąd z krytyków nie pomyślał. Cząstkowe ich wydania przez Alda, Henryka Stefana, Martyniego, Rigolta, Vulcaniusa, a daleko zupełniejsze Petaviusa i Spanheima, nie mogą bydź uważane za wydania klassyczne, i pokazują oczywiście, że wszystkie rękopisma Juliana po różnych bibliotekach rozrzucone, nie były dotąd przez nikogo należycie przejrzane i porównane. Każdy albowiem z wyżej wymienionych wydawców, przydawał mniej lub więcej listów, podług rękopismu którego używał, że zamilczę o tych które Muratorius i Rostgaard we Włoszech poźniej wynaleźli, a które Fabrycyusz, tak w swojej *Bibliotece Greckiej*, jako też w dziele: *Salutaris Lux Evangelii*, Hamburgii 1731 r. in 4. światu ogłosił. Przekonałem się także, iż Petavius i Spanheim niewiele korzystali z rękopismów biblioteki królewskiej w Paryżu: gdyż znalazłem w nich wiele odmian textu (*variae lectiones*), o których ci uczeni wcale nie wspominają, tudzież list Juliana do Libaniusa, którego w ich edycyach nie czytamy. W rękopiśmie N. 1603 odkryłem list do Bazylego Wielkiego przez nikogo dotąd niewydany: a lubo jego autentyczność jest bardzo podejrzaną, zasługiwał wszelakoż na uwagę wydawców. Oprócz

tego, katalogi rękopismów biblioteki Medyolańskiej i Florenckiej czynią mi nadzieję powiększenia zbioru listów Juliana.

Porównać więc wszystkie rękopisma tego autora, które się znajdują w Paryżu, w Londynie, w Oxfordzie, w Medyolanie, we Florencyi, Rzymie i w Wenecyi; zapełnić za ich pomocą znaczne w listach przerwy (*lacunae*) i wynaleźć (jeżeli będzie można) listy dotąd niewydane; zebrać ich ułomki znajdujące się w innych autorach, jakimi są: Suidas Socrates, Sozamenus i t. d.; roztrząsnąć podług prawidłeł krytyki ich autentyczność, korzystać z dawniejszych edycyj wyżej wspomnionych; jedném słowem użyć wszelkich sposobów do sprawdzenia, naprawienia i objaśnienia textu, i ogłosić za powrotem do kraju klassyczną edycyą listów Juliana, oto jest cel, który sobie zamierzyłem.

W bibliotece paryzkiej znalazłem dziewięć rękopismów zawiérających w sobie mniej lub więcej listów. Dwa najznaczniejsze już porównałem z textem edycyi Spanheima, który, jako najlepszy, przyjąłem za zasadę tej pracy. Uważając zaś, że ta edycya (2 *vol. in fol.*) jest do nabycia trudną, niezupełną i do przewożenia niewygodną, postanowiłem zebrać i przepisać wszystkie listy w liczbie 79, i z tą kopią porównać rękopisma bibliotek angielskich i włoskich, które mam zwiedzić.

Ukończywszy te wszystkie zatrudnienia, ja-

ko też kursa, o których w piérwszym raporcie miałem honor donieść Prześwietnemu Fakultetowi, zamierzam udadź się do Anglii w miesiącu Sierpniu: z tego powodu osobnym listem, o przysłanie mi większej pensyi na trzeci rok przeznaczonej, upraszam Jaśnie W. Rektora Uniwersytetu. (*Sobolewski po przesłaniu tego raportu, zapadł w Paryżu na ciężką nerwową chorobę, przeto projektowanej podróży do Włoch i Anglii nie uskutecznił, ale w końcu drugiego roku swojej naukowej podróży powrócił do kraju, jakeśmy to w texcie już namienili.*)

Korrespondencya.

a) *List W. Krasińskiego do L. Sobolewskiego pisany z Warszawy do Puław, 10 Sierpnia 1822 r.*

(z *Francuzkiego.*)

Dowiedziawszy się od P. M., że się WWP. znajdujesz jeszcze w Puławach, pozwalam sobie pisać do Pana, donosząc Mu, że Kanclerz Hrabia Rumiańców jest teraz w St. Petersburgu i że się zatrudnia tam nowém dziełem, pod tytułem: *Руская Дипломатика, изъ иностранныхъ источниковъ.* t. j. Dyplomacya Rossyjska, z obcych źrzódeł wyjęta. Dzieło to ma bydź redagowane w Moskwie, staraniem i nakładem Hrabiego, niezależnie od *Dyplomatycznego Kodexu*, którego już dwa tomy wyszły. Kanclerz w o-

statnim swoim liście pisze do mnie, że Mu byłaby nader przyjemna, stosunki swoje z WWP. odnowić. Ponieważ się WWP. teraz u źrzódła tylu bogactw literackich znajdujesz, a nade wszystko ściągających się do tej historyi części; wyrządzisz przeto znamienitą posługę Kanclerzowi, jeżeli nanowo zechcesz wejśdź z nim w piśmienne stosunki.

Przy tém zdarzeniu odważam się zanieść do WWPana ważną moję prośbę, znajduje się w Puławach, u P. Gołębiowskiego list do mnie, nie mógłbyś też WWP. przez dobroć swoję wielką przesłać mi go na piérwszą pocztę, albowiem w przeciągu dni piętnastu zamierzam sobie wyjechać do Litwy, a mianowicie w powiat Nowogrodzki, gdzie przez 3 lub 4 tygodnie zabawię.

Przyjm WWP. uczucia najwyższego szacunku i t. d.

Warszawa
10 Sierpnia 1822 r.

b) *List Ludwika* Sobolewskiego *do Kanclerza Hrabiego* Rumiańcowa *z Puław*, *pisany bezpośrzednio*, *po odebraniu listu* W. Krasińskiego.

(*z Francuzkiego.*)

Dowiaduję się z listu P. Krasińskiego, że JWWPD. życzysz sobie stosunki ze mną odnowić. Czuły na ten dowód łaski, na którą nie zasługuję, poczytałbym siebie za nader szczęśliwego, ażebym na cokolwiek mógł się

tu przydadź Opiekunowi wspaniałemu nauk i tych, którzy się niémi zatrudniają. W tym to właśnie zamyśle, znajdując się przed ośmią miesiącami w Warszawie, obowiązywałem P. Krasińskiego, ażeby uwiadomił JWWP. że się ja, czas niejakiś, w Puławach zabawię i podejmę się chętnie wypisać z biblioteki JO. X. Czartoryskiego potrzebne materyały do dyplomacyi i historyi, które są szczególniejszym przedmiotem badań JWWP. Czekałem ode dnia do dnia na rozkazy Jego, tudzież na instrukcye, któreby mi w tym rodzaju pracy towarzyszyły, lecz nieodebrawszy ich dotąd, niepodobieństwem było dla mnie uskutecznienie moich żądań.

Na wyjezdném dopiéro z Puław, odebrałem wyż wzmiankowany list P. Krasińskiego, znajduję się przeto w przykrém położeniu niemożności przyczynienia się tak skutecznie, jakbym tego pragnął do uiszczenia celu pożytecznego i pełnego chwały, jaki JWWP. zamierzasz sobie, przedsiębiorąc ogłaszać *Dyplomacyą Rossyjską, ze źrzódeł obcych wyczerpniętą.* Wszelakoż, ażeby nie zawieśdź zupełnie oczekiwania JWWP. o tym niepomyślnym zbiegu okoliczności, mówiłem J. O. X. Czartoryskiemu, a ten oświadczył chęć dostarczenia przez się materjałów JWWP., o których mowa, pozostaje więc tylko JWWP. przesłać do Xiążęcia z mniejszémi lub większémi szczegółami żądania swoje. Nim to nastąpi, pozwalam sobie zakommunikować JWWP. wiadomość o ręko-

pismie bibljoteki Puławskiej Nro 1585, którego taki jest tytuł: *Wyjątki z bibljoteki Watykańskiej, ściągające się do historyi Rossyjskiej, od r. 1075 aż do r. 1672, wypisane 1790 r. dla nieboszczyka Króla Polskiego przez Księdza Albertrandego, in fol. str. 538.* Foliał ten zawiéra w sobie siedmdziesiąt dwa oddzielne wypisy, mniej więcej interesujące, sposobem chronologicznym ułożone, przyłączam tu ich listę, aż do r. 1526 *inclusive.*

Życząc, ażebyś JWWP. wśpierany gorliwością światłego właściciela bibljoteki Puławskiej, mógł z niej wyciągnąć dobry zasiłek do swojej kollekcyi dokumentów odnoszących się do historyi Rossyjskiej, mam honor Mu donieść, iż stosownie do rozporządzeń Uniwersytetu Wileńskiego wkrótce odprawię podróż do Krakowa i Wiédnia, potém zaś do St. Petersburga dla zwiedzenia bibljotek i wyczerpnięcia z nich materjałów potrzebnych do historyi literatury polskiej, czém się od lat kilku zatrudniam. Jeżeli JWWP. znajdujesz przyzwoitém dadź mi jakoweś poruczenia do Krakowa i Wiednia, upraszam JWWP. przesłać swe w tej mierze rozkazy do Puław.

Mam honor zostawać J. W. WPana Dobrodzieja i t. d.

Puławy
20 Września 1822 r.

c) *List* Kanclerza Hrabiego Rumiańcowa do Ludwika Sobolewskiego, *jako odpowiedź na poprzedzający*, pisany z Homla, 13 Października 1822 r.

(*z Francuzkiego.*)

Dziękuję WWP. za list pod d. 20 Września, którym mię zaszczyciłeś. Żałuję, że opuszczasz sławną bibljotekę puławską. Zobowiąże mię to bardzo, jeżeli Xiążę Adam, dla którego szczególniejsze mam poszanowanie, pozwoli mi z czasem ze swojej bibljoteki coś takiego wypisać, coby się do bogactw dziejopisarskich mojej Ojczyzny przyczynić mogło. Co się tycze rękopismu zawiérającego w sobie wyjątki wypisane dla Króla polskiego z bibljoteki Watykańskiej, tego się exemplarz w Petersburgu znajduje. Będę WWP. nieskończenie obowiązany, jeżeli podczas pobytu swojego w Krakowie, odkryjesz u kogokolwiek rękopism Rossyjski, albo przynajmniej starą edycyą, z tych, jakie przed wieki zaszczyciły prassy Krakowskie, którą właściciel jej chciałby przedadź, i uwiadomisz mię o samém dziele, roku wydania jego i cenie.

Życzyłbym sobie znajdować się wtenczas w St. Petersburgu, kiedy WWP. zwiedzisz tę Stolicę. Proszę wierzyć, iż mi nader przyjemnie będzie zabrać z WWP. osobistą znajomość.

Mam honor i t. d.

d) *List Samuela* B. Lindego do Lud. Sobolewskiego *z Warszawy do Wiednia pisany, pod d. 8 Grudnia 1822 r.*

Przyjacielską odezwę WWPana Dobrodzieja, wczoraj odebrałem, i dziś na nię odpowiadając, przesyłam kilka wierszów do JW. Ossolińskiego. Jestem przekonany, że i bez mego przyczynienia się byłbyś WW Pan Dobrodziej sam sobie otworzył wstęp i do JW. Hrabiego i do Jego bibljoteki, zwłaszcza pracujący nad przedmiotem nas wszystkich równo obchodzącym, jakim jest literatura ojczysta, i pod opieką JO. Xiążęcia Kuratora. Lecz gdy WWPanu Dobrodziejowi tak się zdawało, miło mi bardzo jest, żeś mi zdarzył sposobność uczynienia Mu przyjacielskiej przysługi. Życzę i spodziewam się, że zwiedzenie Wiédnia zbogaci znacznie tak troskliwego, gorliwego i umiejętnego badacza.

Polecając siebie dobrej przyjaźni, mam zaszczyt zostawać z prawdziwym szacunkiem i t. d.

e) *List JO. Xiążęcia* Adama Czartoryskiego *Kuratora Uniwersytetu Wileńskiego do Hr.* Ossolińskiego, *pisany z Puław, bez daty. Data na kopercie 27 Maja, list odebrany d. 9 Czerwca. N. S. 1823.*

Nic pomyślniejszego nie mogło się zdarzyć Panu Sobolewskiemu w jego zawodzie, jak opiekuńcze przyjęcie, którego doznał od

JW. WPana. Pisałem do Uniwersytetu i już wyszło pozwolenie, aby Pan Sobolewski pozostał póty w Wiédniu, póki JW. WPanu zdawać się będzie. Odtąd bowiem, jak mu zacząłeś udzielać skarbów swojej bibljoteki i własnego światła, odtąd jak obiecałeś wzbogacić jego badania własnémi notami, a nawet ukończone swoje pisma jemu odkazać, pozwól JWPan, abyśmy P. Sobolewskiego, za Jego wychowańca, jak pierwéj Lindego uważać mogli.

Dla zwrócenia powszechnej uwagi na przedsięwzięte dzieło Pana Sobolewskiego, co mu w dalszych jego wyszukiwaniach stanie się pomocném, życzyłbym uczony list JW. WPana do mnie wydrukować; o czém jednak pierwéj donoszę i o zezwolenie upraszam.

Miła mi jest pamięć związków, które nas za lat młodszych łączyły, a żałośna długa ich potém przerwa. Wrócić do nich choć przez listy z duszy pragnę. Zapowiadając mi JWMPan swoje narady względem potrzeb literatury naszej, zasilasz mię nadzieją ważnej pomocy, w tym właśnie czasie, gdy oddawna przewlekane zamiary postanawiam przywieśdź do skutku, tyle przynajmniej, ile okoliczności krajowe, roztargnienia urzędu i stan interesów moich pozwolą.

Nieszczęście, które mię dotknęło, nie dało mi wcześniej odpisać na list JWMPana. Przy spokojniejszej duszy przeszlę JWMPanu szczegółowy plan moich zamiarów z prośbą o zdanie i radę.

Znane są JWMPanu uczucia, które oddawna dla niego powziąłem; szczéra przyjaźń i wysokie poważenie, z którémi nazawsze pisać się będę

JWMPana i t. d.

f) *List Hrabiego* Ossolińskiego *do Xiążęcia Adama* Czartoryskiego, *pisany z Baden pod datą 16 Czerwca 1823 r.*

W moim nazbyt dotkliwym losie wiele mi przynosi pociechy łaskawa J. O. W. X. M. przyjaźń, niemniej i zdarzona przez niego sposobność bycia i w tém niedołęztwie, jakożkolwiek naukom krajowym użytecznym. JP. Sobolewski nietylko nieznużenie pracuje nad własnémi wypisami, z rzadszych mojej i inszych tutejszych bibljotek książek, niemniej nad szperaniami do nich ściągającémi się, ale nawet zadaje sobie pracę, różne rozproszone moje własne szczątki zbiérać, tudzież, co się już bardziej dokończonego trafia uzupełniać. Opodal ode mnie ani nikt mniej wprawny, nie potrafiłby z rozproszenia tych moich rozmaicie rozrzuconych szczątków zgromadzić. Wkrótce jeden tom poświęcimy na ofiarę J. O. W. X. M. Z utesknieniem oczekuję przyrzeczonego mi od W. X. M. udzielenia planu przedsięwzięć jego dla rozkrzewienia i udoskonalenia naszej literatury. Postrzeżenia i myśli moje, jako dalszy ciąg piérwszego listu będę miał sobie za powinność W. X. M. następnie przełożyć.

Z owym zaś zostawuję W. X. M. zupełną moc postąpienia jak mu się podobać będzie; równie też z dalszémi. Nie może, tylko przynieść mi zaszczyt i chlubę rozszerzenie publiczne ufności i dobrotliwych względów od W. X. M. doznawanych. Racz W. X. M. bydź jak najmocniej przeświadczonym, że serce i umysł mój są pełne najczulszego do W. X. M. przywiązania, najwyższego dla zamiarów Jego narodowemu oświeceniu pożytecznych uszanowania; najżywszej gorliwości przykładania się do tego z mojej strony ile teraźniejsze moje wydołają siły. Czynią mi lekarze nadzieję, że za dojrzeniem, teraz już znacznie wynurzającej się, katarakty, kiedyś przez operacyą wzrok odzyskam: atoli nie mogę przenieść na sobie i tej przerwy czasu gnuśnie strawić. Dzięki J. O. W. X. M. i dobrym chęciom zacnego JP. Sobolewskiego, że przy jego pomocy, mogę niekiedy, te i owe moje dawniejsze roboty niejako do wydania na świat kształcić inne chwile, dla mnie niewezwyczajonego do próżnowania, aż do nieznośnej ckliwości przeciągłe, zaprzątam przepolszczaniem Dziejów Rzymskich Liwiusza, w którém już znacznie postąpiłem.

Rozgłasza się tu wieść nie wiem czy pewna, o mającém nastąpić przybyciu do Baden J. O. Xiężnej Jejmości Sapieżynej z J. O. X. Jejmością Wojewodziną. Poczytałbym to sobie za najpomyślniejsze zdarzenie i upraszam łaski W. X. M. o wczesne w tej mierze doniesienie. — Racz W. X. M. łaskawie przy-

jąć hołd znajomych Mu moich dla siebie, najmocniejszych przywiązania i poważenia uczuć, z któremi mam sobie za honor i powinność, nieodmiennie zostáwać

J. O. W. X. M. i t. d.

— Przepisy zachowania się przy użyciu wód mineralnych, tak wewnętrzném jak zewnętrzném, podług Dra F. A. v. Ammon. przez Dra Michała Kaczkówskiego.— Lwów. Wytłocznia narodowa Ossolińskich. — 1834. in 8vo min. str. 116, przemowy str. III.

Rzecz tego pożytecznego pisma składają następujące przedmioty: a) O używaniu wód mineralnych i o celu ich używania. b) O potrzebie przygotowawczego leczenia, przed użyciem wód mineralnych. c) Ogólne uwagi nad skutkami wód mineralnych wewnątrz branych, w ciele ludzkiém. d) O używaniu kąpieli już samych przez się, już w połączeniu z wewnętrznem wód mineralnych używaniem. e) O dalszych działaniach wód mineralnych, oraz o powtórzeniu leczenia wodami mineralnémi. f) O częstém nieudaniu się leczenia wodami mineralnémi lub kąpielami.

Autor przyjąwszy tu za zasadę układ dzieła w tymże samym przedmiocie wydanego przez Doktora Ammon: lubo w wielu miej-

scach, jak i sam to wyznaje, dosłownym jest jego tłumaczem, nie zaniedbał wszakże korzystać z prac innych znakomitych lekarzów: Hufelanda, Krejsiga, Richtera, Heidlera, i Aliberta, o ile te do prawideł ogólnych dyetetycznych zastosować się dały: co utworzyło książkę, o leczeniu się wodami mineralnémi, popularną, arcy pożyteczną, z tego mianowicie względu, iż wykładając działania i skutki wód mineralnych, tak wewnątrz branych, jako też używanych za kąpiele, najpilniej wszędzie zaleca, ażeby, jak tego rodzaju, tak też i wszelkiej innej kuracyi, bez rady biegłego medyka, na oślep nie używano: przestroga, któréj nie można nigdy powtarzać nadto, mianowicie chorym z urojenia, którzy zwykle, korzystając z dzieł popularnych o medycynie, póty się leczą, póki temperamentu swojego do szczętu nie zrujnują; a potém się już po niewczasie lekarzóm poruczają.

Język w tém dziełku jest czysty poprawny i wykształcony; powierzchowność wydania wszystkie ma zalety, jakich tylko wymagać można: piękny papier, ładne typy i zgrabny format, od czego rzadko drukarstwo lwowskie odstępuje.

— Kucharka oszczędna, czyli przepisy dla gospodyń wiejskich, łatwego i niekosztownego sporządzania potraw, opatrzenia śpiżarni w potrzebne zapasy, oraz dystyllowania wódek. Przez Jana

Szytlera. — Wilno w Drukarni dyecezalnej u XX. Missyonarzy. 1835 r. 8vo. str. 184, oprócz regestru, przemowy, tudzież listy prenumeratorów, str. 14 zajmujących.

Tenże autor ogłosił pierwéj dzieło o swojej sztuce, z tytułem:

— Kucharz dobrze usposobiony, ułożony przez Jana Szytlera. — Wydanie drugie pełniejsze. — W Wilnie w Drukarni dyecezalnej u XX. Missyonarzów. 1833 r. Wydanie piérwsze wyszło z tejże Drukarni w r. 1830. — Tomy dwa in 8vo. piérwszy str. 183 w wydaniu 2giém, w piérwszém 180, drugi str. 108 w wydaniu drugiém, w piérwszém zaś 98. — Do edycyi piérwszej przydana jest rycina, wystawująca nakrycie stołu na osób dwadzieścia cztéry; do drugiego, oprócz tej, przyłączona jest jeszcze inna, wyobrażająca trufle czarne i popielate, tudzież narzędzie do ich wydobywania służące.

W poprzedzającej VI. części naszego pisma, mieliśmy przyjemność dadź jakieżkolwiek wyobrażenie czytelnikóm naszym o dziele ogrodniczém P. Strumiłły, dziś niemniej nam jest miło, również pożyteczną pracę P. Jana Szytlera opisać: tamten naucza jak pielęgnować rośliny zdatne ku pożywieniu, ten jak je zdrowo i smakowicie na posiłek obracać. Podobne dzieła, stykające się tak blizko z potrzebami piérwszémi naszego życia, zawsze są pożądane, a zamiar ich pisania zasługuje na powszechną po-

chwałę. Posłuchajmy samego P. Szytlera, tłumaczącego się z przedsięwzięcia swej pracy:

„Dla ogólnego pożytku usiłowałem napisać niniejszą książkę, pod tytułem: *Kucharz dobrze usposobiony*. Znajdzie w niej czytelnik dostateczne reguły do nabycia tej umiejętności, która ułatwia i prowadzi stopniami do tego kresu, jaki okaże zupełne usposobienie talentu, professyi kucharskiej.

„Wielu już w tej materyi pisało, wykładając przysposobienie potraw do stołu: ale nie wielu mogło z tych przepisów korzystać, nie znalazłszy w nich dokładnego wyrażenia proporcyi wchodzących artykułów do potraw, ich przysposobienia, i stosownego uwarzenia, aby oczekiwanemu smakowi odpowiadały. Wielu nam okazało przepych stołów zastawionych potrawami, na widok oko łudzić zdającémi się; ale nie mogącémi zaspokoić ani smaku, ani apetytu, któryby skutki dobrego zdrowia zaręczał.

„Co do mnie, ucząc się i praktykując przez znaczny przeciąg czasu, przy najpiérwszych kuchniach, starałem się niniejsze dzieło tak ułożyć, aby we wszystkiém zamiarowi swemu odpowiadało.“

P. Szytler postrzegłszy, że *Kucharz dobrze usposobiony*, nie może tak ogólnie bydź przydatnym, jak sobie zamierzył; tu bowiem, po większej części są recepty na potrawy kosztowne, pańskim tylko i zbytkowym stołom właściwe; wydrukował *Kuchar-*

kę oszczędną, na czele której umieścił następującą przemowę:

„Rok temu trzeci mija, jakém się przysłużył Publiczności, powtórną pomnożoną edycyą książki pod tytułem: *Kucharz dobrze usposobiony*. Ile to dziełko celowi swojemu odpowiedziało, to wykazuje powtórne jego przedrukowanie, które dość prędko po piérwszém wydaniu nastąpiło. Jednak przepisy urządzenia śpiżarni, kuchni i t. d., które w *Kucharzu dobrze usposobionym* podałem, bardziej mają na celu, stoły wystawniejsze i wykwintniejsze, i gdy albo niezupełnie, albo nietyle dają się zastosować do kuchni wiejskiej, do wyprawienia uczty przyjacielskiej szlacheckiej; zatém na żądanie wielu osób, umyśliłem zebrać w jedno takie przepisy kucharskiej sztuki, którychby wykonanie łatwe bydź mogło i w dobrego Szlachcica zagrodzie. Tytuł im dałem: *Kucharka oszczędna*, stosowny do rzeczy w książce zawartych. Bo chcąc jaką strawę zgotować podług tego jak przepisuję, łatwo skrzętna gospodyni znaleźć może ku temu wszelkie przyprawy w swojej wiejskiej śpiżarni, i domowém gospodarstwie. Będę szczęśliwy, jeśli ta moja przysługa, równie dobrze przyjęta będzie jak owa, którą przed kilką laty Szanownej Publiczności miałem honor uczynić.“

To zdanie sprawy autora z przedsięwzięcia przezeń, wymienionych piśmiennych robót, pokazuje w nim chęć poczciwą uczynie-

nia, ile można najpożyteczniejszą dla społeczności professyi, w której się wydoskonalił. Jakoż przez te dwa dzieła, przysłużył się P. Szytler ledwo nie wszystkim towarzystwa klassóm; zacząwszy bowiem od przepysznych i wyśmienitych magnackich stołów, nic nie opuścił, coby skromne pożywienie oszczędnego lub mniej dostatniego domu zdołało uprzyjemnić i zdrowszém uczynić. I jeżeli *Kucharza dobrze usposobionego* wypadnie się poradzić w jakiémsiś ważniejszém zdarzeniu, gdzie okazalej gościa przyjąć należy; tedy *Kucharka oszczędna* powinna zostać podręczną w codzienném używaniu książką każdej rządnej gospodyni, na co sprawiedliwie zasługuje. Znajdują się tam bowiem przepisy na kilkaset potraw tanich, zdrowych i smakowitych.

Skrzętna troskliwość o powiększenie wygód życia wrodzona jest człowiekowi. Społeczność, w której one są rozmaitsze i powszechniejsze, wyższy też szczebel cywilizacyi zajmuje; ta zaczyna się zwykle od lepiej przysposobionego jadła. Orfeus zkształcąc ludzi, według dawnych podań, uczył ich żywić się przyzwoiciej: *Sylvestres homines victu foedo deterruit*; kto więc uczy nas karmić się przyjemniej i zdrowiej, wpływa też niemało na sposób życia wykształconemu towarzystwu właściwy. Zaiste, upowszechnienie tej nauki w naszym kraju nader jest pożądane. W wieluż to, dostatniejszych nawet, domach, w wieluż zgromadzeniach

zakonnych, nie widzimy zmarnowanych darów bożych przez ich nieumiejętne na pokarm przysposobienie? Tłusto i korzenno, w większej części podobnych stołów całą zaletę potraw stanowi. Prowadzi to naturalnie za sobą potrzebę picia mocnych trunków; a konsekwencye ztąd są aż nadto wiadome, omrok pojętności, tudzież rozmaite chorobne cierpienia, których, jeżeli czerstwiejszy temperament i uniknie, toć się w nim zwykle niewiele co ludzkiego prócz postaci pozostawa. Nauka wygodnego, posilnego, lekkiego i zdrowego urządzania pokarmów, nie jeden ma stosunek z cnotą i moralnością; nad czém się rozwodzić nie widzimy potrzeby: wielu o tém umiejętnie pisało i rozprawiało, a codzienne doświadczenie prawdę tę potwierdza; z której wypada, że Kucharstwo, dla dostatniejszych zwłaszcza domów, obojętném bydź nie powinno. Kucharz dobry jest najpiérwszym domowym lekarzem, a najpożyteczniejszą popularną książką medyczną jest ta, z której się nauczyć można jak sporządzać zdrowe i smaczne potrawy. Książka zatém P. Szytlera powinna zostać kodexem każdej pani domu, każdej ochmistrzyni, a nawet każdej instytutorki pensyi: pożyteczniej z niej korzystać można, niżeli z czytania romansów.

Tę prawdę powszechniej u nas czuć już zaczynają; czego jest dowodem wyczerpanie rychłe piérwszej edycyi *Kucharza dobrze usposobionego*, i codzienne rozchodzenie się,

w różne, odległe nawet miejsca *Kucharki oszczędnej.* — P. Szytler nietylko przez pismo, ale i praktycznie z wielkiém powodzeniem naucza swej sztuki. Wielu już w Litwie wybornych kucharzy usposobił i sposobi ich jeszcze. Młodzi jego uczniowie nietylko nabywają potrzebnych wiadomości przy ogniu kuchennym, ale biorą nadto lekcye teoretyczne od swojego mistrza; uczą się przy tém rysunku ze wzorów do przystrojenia stołu podanych. Ale napróżnobyśmy usiłowali rozwodzić się z pochwałami tego biegłego Kuchmistrza, talent jego, mianowicie w Litwie, znany jest powszechnie. Nie masz zamożnego domu, w którymby on gościnności gospodarza, w zdarzeniach pomyślnych i wesołych dla rodziny, kiedyś nie uprzyjemniał. — Życzyć tylko pozostaje, ażeby piękny P. Szytlera przykład i drudzy też professyoniści naśladowali, wykładając na pismie prawidła sztuk swoich, prędzejby to je upowszechniło, nad samo tylko mechaniczne uczenie się przy warstacie. — Polszczyzna w dziełach P. Szytlera jest czysta i jasna, o czém przytoczone z książek jego miejsca, każdego przeświadczyć mogą.

W następnym 1836 roku wyjdzie nader ważne bibljograficzne dzieło, wielce potrzebne dla wszystkich bibljotekarzów, bibljotek,

tudzież ich właścicieli księgarzów, antykwaryuszów, aukcyonatorów, miłośników sławiańskiej literatury, na które prenumerata u PP. ZAWADZKIEGO i WĘCKIEGO księgarzy w Warszawie i Wilnie, jako też u wszystkich księgarzy europejskich przyjmowana będzie.

Ma to bydź: — Zupełny powszechny LEXICON ksiąg sławiańskich, zawierający wykaz w porządku alfabetycznym, wszystkich dzieł, we wszystkich sławiańskich dyalektach, które od epoki wynalezienia drukarstwa, do końca r. 1834, w Czechach, Morawii, Węgrzech, Rossyi, Serbii, Slawonii, Dalmacyi, Kroacyi, Illiryi, Polsce i Szląsku, oraz w krainach przygraniczających, już drukiem są ogłoszone, już się w znanych rękopismach znajdują; z dodatkiem wiadomości o wszystkich pisarzach, tak bezimiennych, jako też pod udaném imieniem nam znanych, o urodzeniu, śmierci, oraz ich charakterze; o kartach, rycinach, tudzież innych dodatkach, o liczbie tomów lub sposzytów, o nakładcach i wydawcach, liczbie arkuszy i cenie. Przytém dołączony będzie regestr rzeczy, oraz wiele uwag, objaśnień i przypisków, w niemieckim, francuzkim, angielskim, łacińskim i sławiańskim językach; nadto wstęp ułatwiający wymawianie sławiańskich wyrazów i t. p., wypracowany i wydany przez Wacława Jerzego DUNDER'A, prokuratora i zawiadowcę ogólnego sławiańskiego księgarstwa w Wiédniu.

Tytuł tego dzieła:

Lexicon Universale Librorum Slavicorum, qui inde ab anno 1475 usque ad annum 1834 in Bohemia, Moravia, Ungaria, Russia, Serbia, Slavonia, Dalmatia, Croatia, Illiria, Polonia, Silesia etc. et in terris confinibus prodierunt.

Bibliografický Lexikon Literatury Česko-Slowanské, neb wšeobecný a auplný přehled wšech pozustawagjcjch a známých Kněh a Rukopisů Českých, genž od času wynalezenj a rozšjřenj kněhtiskářstwj až ku konci roku 1834 w Čechách, w Morawě, w Uhřjch a w okolnjch kraginách na swětlo wyšly. W pořádku alfabetickém. S udánjm wšech spisowatelu, anonymických i pseudonymických, léta narozenj a smrti i stawu gegjch, obrázců, map

a giných přjloh, wydánj, formátu, léta, wydawatelů neb podnikatelu, tjskaren, mjst, ceny a smnohými bibliografickými přjdawky.

Bibliographisches Handwörterbuch der Czechisch-Slawischen Literatur; oder allgemeine vollständige Uebersicht aller vorhandenen und bekannten böhmischen und slowakischen, Bücher und Manuscripte, welche seit Erfindung der Buchdruckerkunst bis Ende des Jahres 1834 in Böhmen, Mähren, Ungarn und in den benachbarten Ländern erschienen und bekannt geworden sind. In alhpabetischer Ordnung. Mit genauer und vollständiger Angabe der Namen, des Standes, des Geburts- und Sterbejahres aller Autoren, sowohl der anonymen als auch der pseudony-

men, der Kupfer, Karten und sonstigen Beilagen, der Ausgaben und Auflagen, des Formats, Jahreszahl, Verleger, des Verlagsortes, der Preise und anderer bibliographischen Notizen.

Treść i podział.

Ośm tomów, to jest 500 lub 550 arkuszy in 8vo maj. *Lexicon* ten składać będzie.

1szy i 2gi tomy: a. Bohemski albo Czeski oddział.
(to jest dyalekta: Czeski, Morawski, Słowacki, tudzież obce związek z niémi mające literatury.)

3ci i 4ty tomy: b. Ruski i Staro-Sławiański oddział.
(to jest dyalekta: Wielko-Rossyjski, Mało-Rossyjski, Ruśniacki, Biało-Ruski, tudzież Staro-Słowiańska literatura.)

5ty i 6ty tomy: c. Polski oddział.
(to jest dyalekta: Wielko-Polski, Mało-Polski, oraz Szląska literatura.)

7my i 8my tomy: c. Serbski z Iliryjskim oddział.

(to jest dyalekta: Serbski, Dalmacki, Bulgarski, Bośniacki, Kroatski, Slawoński, Wendski, tudzież Kraińska literatura.)

Przytém dodatek zawiérający to wszystko, co się tylko w obcych znajduje językach, a jakikolwiek ma związek ze Sławianami ich historyą, literaturą, mową, krajami i t. p. Na końcu dzieła, jak można najdokładniejsze, w nim zawartych, spisanie rzeczy umieszczone zostanie.

Warunki Prenumeraty.

Piérwszy i drugi tom, to jest oddział Czeski, wyjdzie w roku następnym, w poszytach, z ozdobną oprawą na wybornym białym papiérze zalecający się szczególniejszą pięknością druku.

Cena prenumeraty każdego poszytu jest złotych 4 gr. 20.

Po wyjściu piérwszego poszytu, czyli piérwszych 12 lub 15 arkuszy, dalsze wychodzić będą co cztéry tygodnie.

Piérwszy i drugi tom, czyli część piérwsza zawiérać będzie 50—60 arkuszy drukowanych wielkiego formatu lexikonowego.

Pojedyncze oddziały za droższą cenę przedawane będą.

Cena prenumeraty jednego poszytu na pięknym papiérze z szerokiemi brzegami jest złotych 7.

Przy tém wzywają się wszyscy PP. uczeni, księgarze i drukarze, którzy księgi o sławiańskiej literaturze, mowie, dziejach i t. p., w obcym języku, lub w jakimkolwiek dyalekcie sławiańskim wydawali, tłumaczyli, lub też drukowali, aby całkowity tytuł dzieła, oraz bibliograficzną wiadomość, za pośrzednictwem księgarzów, dla wsparcia i uzupełnienia tego ważnego przedsięwzięcia, przesłać raczyli do Wiédnia przed końcem bieżącego roku.

Wszystko, cośmy o przedsięwzięciu powszechnego słownika sławiańskiego powiedzieli, zawiéra się w osobnym prospekcie, którego druk, papier, format i text probką są przyszłego słownika. Prospekt takowy można oglądać w Wilnie w księgarni P. Józefa Zawadzkiego, w Warszawie zaś u P. Węckiego. Podpisał go Jos. Wenedikt Księgarz w Wiédniu.

Uskuteczenienie tego zamiaru, jeżeli go wesprą gorliwie, biegli w rozmaitych dyalektach mowy sławiańskiej mężowie, światłem, krytyką i wiadomościami swojémi, dzielnie wpłynąć może na kształcenie i doskonalenie tychże dyalektów, jednego przez drugi. Snadniej się bowiem poznać i ocenić dadzą bogactwa piśmienne każdego, mniejszy lub większy stopień cywilizacyi posiadającego sławiańskiego plemienia. Księgi te, będąc pisane o rozmaitych naukach, sztukach wynalazkach, tudzież przedmiotach badań umysłowych, nastręczą może nie jednemu biegłemu miłośnikowi czy-

stości rodzinnej swojego dyalektu, wyrazy narodowe, wprost ze źrzódła sławiańskiego pochodzące, które nagięte nieco do składu dyalektu pobratymczego, łatwiej w nim prawo obywatelstwa przyjmą nierażąc krajowców, jak nowe niefortunnie częstokroć klecone słowa, lub też makaronizmy z języków innego zupełnie rodu i pochodzenia przyswajane. Prócz tego, dzieło takie rzucić zdoła światło pewniejsze, niż mamy dotąd, na dzieje życia umysłowego plemion sławiańskich i objaśnić badania uczonych europejskich, którzy po większej części o pewnych pokoleniach Sławian jak o antypodach rozprawiają. Do osiągnienia pożytku, jakiego z pracy podobnej słusznie oczekiwać można, w całej zupełności, życzyćby należało, ażeby jakieś Towarzystwo uczonych filologów sławiańskich zajęło się wydaniem Słownika porównawczego wszystkich dyalektów mowy sławiańskiej, Towarzystwo mówię, bo dokonanie podobnego zamysłu jest nad możność jednego człowieka, czego, nie bez zalety skąd inąd, kuszenie się P. S. Lindego, w jego Słowniku polskim dowiodło.

SPISANIE RZECZY W CZĘŚCI SIÓDMEJ ZAWARTYCH.
